№ 6. Warszawa, dnia 9 Lutego (28 Stycznia) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

ZNAKI ZAPYTANIA.

A więc nie umarł nagle, lecz zabił się wystrzałem z rewolweru. Jeszcze przed stu laty utajenie samobójstwa następcy tronu a przynajmniej skłamanie urzędowe, było możliwem; dziś przy niezmiernie zaostrzonej czujności i rozwiniętym systemie śledzącym prasy jest niewykonalnem. To też Tisza — jeśli to on uczynił — nie potrzebował zbyt długo przekonywać strapionego cesarza o potrzebie i obowiązku ujawnienia prawdy, ażeby z niej w ciągu 24 godzin zdjęto zasłonę i porzucono „paraliż serca." Franciszek Józef musiał zgodzić się na ogłoszenie w gazecie urzędowej, że syn jego 29 stycznia rano, wysławszy z poleceniami kamerdynera, zamknął się w swym pokoju i roztrzaskał sobie głowę kulą. Dlaczego? Pytanie to wystąpiło na wszystkich ustach, we wszystkich dziennikach i pomimo orzeczenia lekarzy, którzy przy sekcyi mieli znaleźć w mózgu nieboszczyka dowody zamroczenia umysłowego, czeka na rzetelną i szczerą odpowiedź. Bo chociaż arcyksiążę Rudolf był rzeczywiście człowiekiem zdenerwowanym i zdradzał objawy melancholii, nie zauważono w nim takiego rozstroju, któryby przezwyciężył silne pobudki życia dla wielkiej roli, na wydatnem stanowisku. Tej mocy węzły przeciąć może tylko albo gwałtowny obłęd, albo straszne nieszczęście. Nic też dziwnego, że opinia publiczna poszukuje ciągle klucza zagadki i znaleźć go nie może. Zmarły pozostawił listy do matki, żony i przyjaciół, ale i w tych ostatnich wyznaniach podobno nie spowiada się szczerze z przyczyny swego samobójstwa. Brak objaśnienia wiarogodnego i zadawalającego roznamiętnia wyobraźnię, która go zasnuwa rozmaitymi domysłami, wreszcie nadaje rozgłos szeptom, wychodzącym z otoczenia księcia. Opowiadają, że wyjechał on z Wiednia do Mayerlingu po ostrej rozprawie z żoną i ojcem, który go skarcił za uwiedzenie księżniczki Aglai Auersperg, że w nocy wszedł do jakiejś baronówny Vecsery, która przebywała w oficynie zameczku, że spłoszony wyskoczył oknem, że będący na straży strzelec Weidringer, wziąwszy go za uciekającego złoczyńcę, strzelił i ugodził go w ramię, że owa baronówna, widząc skrwawionego kochanka, otruła się, że książę poszedł do swej sypialni i tam rano przed lustrem wpakował sobie kulę w skroń. Ile w tej legendzie prawdy — określić trudno. Znalazła ona wiarę dlatego, że nieboszczyk istotnie często naśladował bohatera Byronowskiego i w stosunki miłosne wikłał się wielostronnie. A jeżeli tak było, czy wolno wymagać od cesarza, ażeby ten obwieścił narodowi o bałamuctwach syna i przed całym światem rozwiesił pasmo przykrych tajemnic? Sądzimy też, że całkowita prawda śmierci Rudolfa współczesnym okazaną nie będzie i że na taką ofiarę ojca i monarchę skazać niepodobna.

Skoro tylko wrażenia osłabną i wrzawa ucichnie, na miejsce dramatu jednostkowego wystąpi sprawa ogólna, dziś przezeń na dalszy plan zepchnięta, sprawa następstwa tronu. Brat cesarza, tylko o trzy lata od niego młodszy, chce ustąpić swych praw jednemu z synów. Starszy z nich, przez przyjęcie dziedzictwa modeńskiego, które pieniężnie przedstawia dużą wartość, spadkobiercą tronu austryackiego być nie może bez zrzeczenia się nabytej godności i milionów. Nadto arcyksiężniczka Stefania ma powody mniemać, że jej powtórne macierzyństwo nie jest wykluczonem. Korona austryacka wisi przeto nad czterema głowami: bratem cesarza, jego dwoma synami i przypuszczalnym pogrobowcem. Do tych głów czterech dodają jeszcze piątą — możliwego potomka monarchy. Kwestya tedy pozostaje w zawieszeniu, a taka niepewność przeszkadza zwróceniu się uczuć narodu w pewnym stałym kierunku. Ale gdyby nawet ją spiesznie rozstrzygnięto, położenie trudne nie poprawi się o wiele. Przedewszystkiem nie należy zapominać o tej okoliczności pierwszorzędnego znaczenia, że Austrya jest państwem różnorodnem, zlepionem sztucznie, którego budowę i całość utrzymuje jedna klamra — panujący. Cesarz obecny cieszy się powszechną sympatyą, w której topnieją i godzą się rozmaite sprzeczności i przeciwieństwa narodowe jego poddanych. On więc stanowi klamrę mocną. Mógłby nią być również jego następca, któryby od dzieciństwa splatał węzły serdeczne i ścisłe między sobą a tymi, którymi rządzić będzie. Tak czynił Rudolf, on więc posiadłby władzę, już posiadłszy miłość. Tymczasem nagle korona przechodzi na jednego z Habsburgów, który o niej nigdy nie myślał, który na nią nie zapracowywał, który wesoło żył, hulał, próżnował, często nawet obrażał uczucia narodu. Co wtedy się stanie z owym zlepkiem, zwłaszcza gdy cesarz Franciszek Józef nie pożyje długo, nie da swemu następcy czasu do wyuczenia się roli i zatarcia wspomnień? W tym fakcie tkwi dramat przyszłych losów Austryi, a żałoba, która ją pokryła, wyraża nietylko żal po śmierci Rudolfa, ale smutek przewidywań. Od tych gapiów, którzy się podusili w tłoku na pogrzebie, boleśniej cierpieć muszą ci, którzy pozostali przy życiu i wybiegają wzrokiem po za granice ciekawości poznania tajemnicy samobójstwa. Bo oni myślą o śmierci — państwa.

BUDAPESZT I WIEDEŃ.

Współzawodnictwo między temi dwoma stolicami Austryi z dniem każdym potężnieje i wzmaga się na niekorzyść serca Marchii wschodniej. Im Peszt bardziej rozwielmożnia się, im ludność jego wzrasta, im częściej imię jego pojawia się na łamach dzienników i w rocznikach dyplomatycznych, tem niżej upada Wiedeń, tem prędzej i chyżej traci on na wartości. Ów wyścig zaś nie jest mimowolnym i przypadkowym. Przeciwnie, od chwili, gdy hr. Beust rozdzielił niegdyś niemożebnie scentralizowane państwo na dwie połowy, a Franciszka Józefa skłonił do włożenia na skronie korony św. Stefana, węgrzy nieustannie łamią i kruszą jedno ogniwo po drugiem w łańcuchu spajającym Przed- i Zalitawię. „Tylko osoba władcy i wojsko są wspólne"— wołają umiarkowani. „Jedynie unia osobista"—odpowiadają czerwieńsi. „Nic wspólnego ze szwabami"—myślą i złowrogo milczą „nieprzejednani" z Danielem Iranyim na czele. Wszystkie trzy zaś stronnictwa równocześnie i zgodnie pracują nad udowodnieniem, że Budapeszt jest stolicą, równorzędną Wiedniowi, że Zalitawia jest odrębnem od Przedlitawii państwem. A więc inne marki pocztowe, inne stemple, jedna strona papierowych pieniędzy węgierska, linia celna między obiema połowami, odrębne pojmowanie ustaw, szersze przywileje konstytucyjne dla węgrów i równocześnie surowy, a niesprawiedliwy centralizm dla słowian i rumunów—oto znamiona owego rozdziału, łatanego co dziesięć lat t. zw. ugodą, która rozdziela wspólne wydatki na armię, flotę, dyplomacyę itd.

Rokrocznie musi ich „król" wraz z rodziną przez kilka miesięcy mieszkać w Peszcie; arcyksiążęta mówią wówczas po węgiersku, jak węgierskim również jest dwór i otoczenie monarsze. To wszystko zadawalnia umiarkowanych, stronnictwo rządowe z Tiszą na czele. Przybrali oni miano „liberalnych," a właśnie nie mają słowianie gorszych ciemiężycieli, niż ta szlachta drobna, biurokraci zaśniedzieli, żydzi lub niemcy zmadyaryzowani i t. zw. madyaroni t. j. słowacy, rusini i chorwaci, którzy zaparli się swego pochodzenia. Ci więc pragnęliby zachować dzisiejsze stosunki z Przedlitawią, bo im samym dzieje się dobrze, a jasno zarazem widzą, że Węgry, odzielne, mogą łatwo rozbić się na jakiejkolwiek skale podwodnej. Tymczasem opozycya zachowawcza, magnacka i „nieprzejednani" idą dalej. Drażni i gniewa ich wspólna armia, w której brzmi niemiecka komenda i niemiecka mowa urzędowa, skutkiem czego najwyższe i najkorzystniejsze miejsca zajmują niemcy. Zresztą państwo bez własnej armii nie jest właściwie samodzielnem, a zupełna samodzielność Węgier stanowi cel tych obu stronnictw. Zwolna więc wprowadzono do obrony krajowej czyli t. zw. *honwedów* komendę węgierską, a równocześnie domagano się publicznie przedzielenia i armii stałej na dwie połowy, z których jedna byłaby ściśle węgierską, druga zaś niemiecką.

Chwila, w której żądanie to można było nietylko ponowić, lecz i zaspokoić, pojawiła się obecnie. Austrya, wielkie mocarstwo z nazwy tylko, zapragnęła odpowiednio do swych urojeń i uroszczeń powiększyć wojsko. W tym celu wypracowano nową ustawę wojskową, która przez podniesienie liczby rekruta i przez wcielenie obrony krajowej do armii czynnej przeszło milionem ludzi zasili szeregi. Prócz tego zawiera ona bardzo uciążliwe rozporządzenie dla młodzieży, kształcącej się w wyższych zakładach naukowych. Dotychczas bowiem istniało prawo, że każdy, kto skończył gimnazyum lub szkołę realną, służył w wojsku tylko przez rok jeden i to z pewnemi ułatwieniami, które dozwalały mu uczęszczać równocześnie na wykłady uniwersyteckie. Po roku przystępował do egzaminu, a następnie otrzymywał stopień podporucznika danej broni. Ponieważ atoli egzamin ów był dosyć trudnym i z powodu treści swej i z powodu języka niemieckiego, ponieważ nadto stopień oficerski, jakkolwiek w rezerwie, krępował nieco wolność osobistą i pociągał za sobą kilkorazowe znaczne wydatki pieniężne, przeto przeszło 70% „jednorocznianików" do egzaminu nie przystępowało, zadawalniając się jedynie rangą podoficera.

Nowa ustawa zakazuje naprzód uczęszczać w czasie służby wojskowej na wykłady uniwersyteckie, czyli pociąga za sobą utratę jednego roku szkolnego (a względnie dwóch, jak zobaczymy niżej), następnie zaś postanawia, że ci z jednoroczniaków, którzy nie zdadzą egzaminu oficerskiego, muszą przesłużyć drugi rok w szeregach.

Rzecz prosta, że owa drakońska ustawa wywołała i w Przed- i Zalitawii ogromne wzburzenie wśród młodzieży. Parlament wiedeński przecież, zawsze pokorny sługa hr. Taaffego, po krótkiem wahaniu uchwalił ustawę jeszcze przed Bożem Narodzeniem z. r.

Teraz przeszła ona pod obrady sejmu węgierskiego i tu opozycya postanowiła wyzyskać tę okoliczność na korzyść własnej armii. Uchwyciła się mianowicie głównie paragrafów, dotyczących służby jednorocznej, jakkolwiek nic chce również przystać i na ryczałtowe uchwalenie zastępu rekrutów aż na 10 lat z góry.

Paragraf czternasty nowej ustawy postanawia, że językiem egzaminacyjnym ma być niemiecki. Otóż opozycya wymaga, by wszyscy obywatele korony św. Stefana, a więc i węgrzy i słowianie i rumuni zdawali egzamin po węgiersku. Żądanie to odbiło się głośnem echem w całym narodzie węgierskim, znalazło również sporą ilość zwolenników wśród stronnictwa rządowego. „Precz z wspólną armią!" — zabrzmiało hasło, które zachwiało rządami p. Tiszy. Nawet osobisty i gorący przyjaciel prezesa ministrów, Juliusz Horvath, piastujący godność wiceprezydenta Izby deputowanych, porzucił dawną chorągiew i przerzucił się do opozycyi. W dłuższej, a dosadnej mowie skarżył się, że dotychczas armia jest ciałem na wskroś niemieckiem. Na podstawie faktów dowiódł, że rzadko oficer narodowości węgierskiej dobije się stopnia generał-majora, a komendantami korpusów zawsze są niemcy. Twierdził, że jest to hańbą dla węgrów, iż armia, w której służą, zowie się „cesarsko-królewską," a nie „cesarską i królewską."

Tak przemawiał poseł umiarkowany; można więc łatwo przeczuć, jak mówili czerwieńsi i zapalczywsi. Nadaremnie też Tisza groził dymisyą gabinetu, nadaremnie wskazywał na rozmaite urojone niebezpieczeństwa, próżno też przypominał, że śladem węgrów i czesi zażądają podobnych przywilejów. Były to ślepe strzały, a liczba odstępców z ław rządowych wzrastała; część ich, dość mała, wróciła wtedy dopiero, gdy Tisza imieniem cesarza zaręczył, że każdy węgier będzie mógł zdawać egzamin w swym własnym języku. Obietnica ta przecież ze względu na uroszczenia innych narodowości w tekście ustawy nie zostanie pomieszczoną.

Opozycya atoli zrozumiawszy, że nie tak prędko znowu nadarzy się jej sposobność przeprowadzenia swych zamiarów, wytęży-

---

6)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

III.

REGINA

dramat w trzech aktach

przez

W. Okońskiego.

SCENA VI.

Ciż i Dżak.

Dżak.

Obwąchują kotlinę... ha! gady podłe! Znam ja ich! Każdy handlarz niewolników ma takich szpiegów, których daleko od siebie puszcza na zwiady.

Regina.

Czy coś pewniejszego wiadomo?

Dżak.

Murzyn, który szedł przez las do stacyi niemieckiej ze skórami antylop, mówił mi, że spotkał dwu tych żbików, leżących przy drodze. Pytali go również o nas, udając, że chcą się zgodzić do roboty. A no zaraz wyśpiewają prawdę.

Regina.

Gdzie?

Dżak.

Pan Gala kazał prosić panią o pozwolenie wzięcia czterech najmocniejszych parobków i zrobienia małej obławki.

Regina.

I owszem, idźcie, ale przekonajcie się naprzód, kim są i nie popełniajcie żadnego okrucieństwa.

Dżak.

W każdym razie ja rewolwer w kieszeń schowam. To mnie doda odwagi a im szczerości i pokory. Nie ukradną mnie.

Regina.

Zapewne o tem nie myślą.

Dżak.

Tipu-Tip, ile razy miał napaść jakąś osadę a obawiał się silnego odporu, kazał zawsze swym psom kraść domownika, który pod plecionką drucianą o wszystkiem go objaśnił. Ale ci nie z jego bandy, bo całkiem czarni. No, Waniko, może się przyłączysz do nas i chłopca sobie przyprowadzisz.

Wanika.

Dziękuję. Z panem Galą bym poszła, ale Dżak ma skrzydła przy nogach i tylko umie dobrze uciekać.

Dżak.

Przecież takiego straszydła, jak ty, nie zobaczę. (*Wychodzi*).

SCENA VII.

Regina, Wanika, później Achtman.

Wanika.

Straszydło! Od niego dyabeł skóry by pożyczył, ażeby się oszpecić.

Regina (*która zapieczętowała list, podając go*).

Zanieś ten list na stacyę, niech oddadzą kapitanowi statku. (*Słychać pukanie do drzwi*). Kto to? (*Wanika oddala się, otworzywszy drzwi, przez które wchodzi Achtman*). Pan Achtman, witam.

Achtman.

Kto tu właściwie jest głową?

Regina.

Każdy ma własną.

Achtman.

Ale kto rządzi?

Regina.

Nikt.

Achtman.

No to mam zaszczyt pani oświadczyć, że tu od dziś musi rozkazywać jedna głowa, która będzie nas słuchać.

Regina.

Co za „nas?"

la wszystkie siły, podburzyła wyborców, pourządzała wiece, rozdmuchała nawet płomień zaburzeń ulicznych w Peszcie... Nagle 30 stycznia nadbiegła wieść o śmierci następcy tronu; wszystko ucichło, uspokoiło się, sprawa poszła w chwilową odwłokę. O jej zakończeniu pomówimy tedy raz jeszcze.

A. N.

RADYKALIZM I BULANŻYZM.

Paryż, 1 lutego.

Zwycięstwo Boulangera jest niewątpliwą i bijącą w oczy klęską rządzącego dziś republikańskiego radykalizmu, lewy zaś środek i oportuniści dawno już stracili łaski wyborców stolicy. Można oskarżać Paryż o kapryśną zmianę swych gustów i upodobań, o republikańską niestałość i przechylanie się ku cezaryzmowi, należy jednak przedewszystkiem w błędach republikanów, szczególniej zaś radykałów, poszukać przyczyn doznanej porażki.

Nie trzeba zapominać o tem, że Boulanger wyprowadzony został na widownię przez radykałów, że oni pierwsi dzwonili na jego popularność, że Clemenceau go kiedyś gorliwie patronował, że program ex-generała: *dissolution*, *revision*, *constituante*, jest programem radykałów, że cała ich grupa przyłączyła się do niego i że dotąd popiera go potężnem swem piórem Rochefort.

W miarę atoli jak rosła popularność Boulangera i osoba jego cień rzucać zaczęła na różne radykalne wielkości, usunięto się od niego i uderzono na trwogę, podnosząc widmo cezaryzmu. Kult jednak wybitnych osobistości nie był obcy radykalizmowi. Czyż Gambetta, któremu dziś postawiono pomnik na placu Carousel, nie był takim bożyszczem? Boulanger jednak jest generałem, *un sabre*, jak się tu mówi, szablę tę jednak mu już odebrano.

Nie wchodzę w to, czy radykalizm mógł pójść *in corpore* za Boulangerem; faktem jest jednak, że popularny generał skonfiskował mu program reformatorski, przerobiwszy go oczywiście na swój sposób, że otworzył Francyi szersze widoki zmian, niż te, jakie mogli wystawić radykalni, że odebrał im samą popularność i co gorsza — skłonił do odwrotu, do cofania się wstecz, w imię solidarności republikańskiej i niebezpieczeństwa grożącego Rzeczypospolitej.

Niebezpieczeństwem tem usiłowano zaląkć i samych wyborców; nie poskutkowało to jednak, bądź dlatego, że dla nich ono nie jest tak widoczne, bądź że przywiązanie ich do samej Rzeczypospolitej jest mniejsze, niż urzędowych jej przedstawicieli.

Na usprawiedliwienie parlamentarnego radykalizmu można jedno tylko powiedzieć, że znalazł się on w warunkach, które go skrępowały, skazały na niemoc, bezpłodność i niepopularne układy. Radykalizm czuł to już dawniej i dlatego w jego łonie poczęła się także opozycya przeciwko samemu parlamentaryzmowi, która jest dziś także jednym z artykułów wiary bulanżyzmu. Ten ostatni, działający po za izbą, żąda obalenia konstytucyi monarchiczno-parlamentarnej z r. 1875 i zaprowadzenie ustroju bardziej zbliżonego do Rzeczypospolitej szwajcarskiej i Unii amerykańskiej. Radykalizm też dążył także do zniesienia dwu izb, a nawet prezydentury — czego chce także bulanżyzm — i zaprowadzenia rządów jednej Izby, konwentu. Zbłądził też, że zamiast stać w opozycyi, trzymać się całkowitego swego programu, zapewnić sobie poparcie w masach i odwołać się ostatecznie do kraju — przyjął udział we władzy wśród warunków wysoce dlań niepomyślnych, wziął na siebie grzechy całej dotychczasowej przeszłości republikańskiej, lewego środka, lewicy, oportunistów i stał się kozłem ofiarnym. Przywódca skrajnej lewicy, Clemenceau, któremu tak pilno było obalać gabinety oportunistyczne, doprowadził swą nawę do tego, że prawdopodobnie nie obejmie już przewodnictwa gabinetu i poprzestać musi na powolnej służbie u Floqueta.

I w jakich warunkach śpieszono się tak przyjść do władzy, ażeby korzystać z wygód jej i prerogatyw? Obalano zawsze gabinety oportunistyczne łącznie z prawicą monarchiczną, utorowano drogę przymierzu, który teraz wyrzucają bulanżyzmowi. Można było wywracać gabinety wespół z prawicą, która zawsze gotową była do takiej posługi, trzeba jednak było rządzić wespół z oportunistami i całą lewicą republikańską. Pocieszano się wprawdzie nadzieją, że w imię osławionej koncentracyi republikańskiej, oportuniści zmuszeni będą iść w ślady radykałów. Szli istotnie, opierali się jednak, trzeba było ich ciągnąć, zawierać umowy i przeprowadzać ułamki tylko ze swego programu lub też odkładać go *ad calendas graecas*. Jeżeli zresztą radykalizm miał zawsze pozostać liczebnie bezsilnym i posługiwać się monarchistami, to bulanżyści postąpili konsekwentnie, usiłując nietylko wchodzić w układy z prawicą przy głosowaniu, lecz starając się wprost w ciągnąć monarchistów do przyszłej swej Rzeczypospolitej „narodowej.“

Zwracając się teraz do ostatnich wyborów, zobaczymy kogo radykalizm przeciwstawił Boulangerowi? Człowieka, na którego wprawdzie zgodził się cały kongres republikański, który jednak był przeciętnem zerem, o którym powiedziano, że *en fait de nom n'avait qu'un prenom*, człowieka, który nie miał nazwiska, tylko imię (Jakób), zupełnie nieznane szerszemu nawet ogółowi paryskiemu, niczego niewyrażające a za to nastręczające sposobność do kpin i żartów. Imię Jakób, Jakóbek jest we Francyi pospolitem mianem mazgaja, niedołęgi. Istnieje też mnóstwo orzeczeń i piosenek drwiących z biednego Jakóbka. Śpiewano też na wszystkie głosy znaną piosenkę: *Frère Jacques, frère Jacques levez-vous, levezvous!* układano kuplety o biednym Jakóbie, tym Jakóbie, który w nazwie *Jacques Bonhome* jest typem wiejskiego poczciwca, przeciwstawianego zawsze sprytnemu mieszczaninowi, *Józefowi Prudhome*. Ułożono też naprędce piosenkę, pod tytułem: *Ah, quel malheur de s'appeler Jacques!* i śpiewano ją na wszystkich placach w dniu wyborów.

Jacques był wprawdzie prezydentem rady generalnej departamentu Sekwany, rada ta jednak nie jest ciałem, którym się Paryż mógłby interesować. Jacques zaliczał się także do radykalnych autonomistów paryskiej rady miejskiej, wskutek czego niektórzy z umiarkowanych republikanów sromali się na niego głosować, uważając go za komunistę. O tym jednak jego radykalizmie nikt nie wiedział, wtajemniczeni zaś w przemysłowe stosunki paryskie wiedzieli tylko, że niebezpieczny ten radykał jest właścicielem jednej z największych dystylarni paryskich, człowiekiem bogatym, dla robotników zaś przedewszystkiem *patronem*. Mówiono o nim, że jest śród nich popularnym, sam zaś spotkałem jednego, który mi powiedział, że robotnicy dystylarni mają do niego pretensye z powodu zmniejszenia płacy i że ani on, mój interlokutor, ani jego towarzysze nie będą bynajmniej głosowali na *patrona* — Jacques'a...

Achtman.

Bardzo źle, że pani swoich zwierzchników nie zna. My — to znaczy wschodnio-afrykańskie Towarzystwo niemieckie, które na mocy patentu cesarskiego i ugody z sułtanem założyło w Witu kolonię handlowo-przemysłową.

Regina.

To mnie nic nie obchodzi i niczego nie uczy, chciałabym wiedzieć, na czem opierają się prawa zwierzchnicze panów i obowiązki posłuszeństwa nasze?

Achtman.

Na tem, że ojciec Makary jest niemieckim misyonarzem a pani niemiecką siostrą miłosierdzia.

Regina.

Pierwszy raz o tej godności słyszę. Nasza osada tylko graniczy z posiadłościami panów a nasza działalność nie ma w sobie nic niemieckiego, prócz potrzeby rozprawienia się z zuchwałą pretensyą, którą pan mi przynosisz.

Achtman.

My nie jesteśmy w salonie, ale w dzikim kraju.

Regina.

Rozmawiając z panem zapomnieć o tem nie mogę.

Achtman.

Ja nie przyszedłem prawić grzeczności młodej kobiecie, ale...

Regina.

Objaśnienie zbyteczne: z grzecznościami musiałbyś pan stąd wyjść natychmiast, a brutalnych uroszczeń gotowa jestem cierpliwie wysłuchać. Więc jak najkrócej: czego pan chcesz?

Achtman.

Naprzód, ażeby towary państwa wysyłane były do Europy i przychodziły z niej przez naszą stacyę i na naszych okrętach, ażeby opłacały nam daninę komisową i cło... Mamy prawo wymagać tego za opiekę, jaką wam udzielamy.

Regina.

Ależ w takim razie spór załatwimy prędko: panowie cofnijcie sobie swoją opiekę, z której ani teraz, ani na przyszłość korzystać nie myślimy, a nam zostawcie swobodę.

Achtman.

Czy tę dumę bezpieczeństwa czerpie pani z owej hołoty, na czele której Gala rozbija po drogach karawany i kradnie ludzi? Istotnie, piękna armia!

Regina.

Gala napada karawany zbójów i kradnie ludzi po to, ażeby ich uwolnić. Z jego zaś hołoty radzę panu drwić bardzo cicho.

Achtman.

Co pani mnie straszysz bandą opryszków! Gdziekolwiek stanie jeden niemiec, tam go zaraz otoczy z całą swą grozą najpotężniejsze mocarstwo ziemi. My tu z jego cywilizacyą przynieśliśmy jego siłę, do nas więc, a nie do jakiegoś Gali, należy stłumienie handlu niewolnikami.

Regina.

Głośniej rozlegałaby się wasza przechwałka po Afryce, gdybyście panowie to wielkie zadanie zaczęli spełniać.

Achtman.

Właśnie w tym celu chcemy zapanować nad wybrzeżem i jego portami, ażeby nie miały dostępu okręty handlarzów ludźmi. Państwo wytworzyliście sobie przystań, która otwiera im drogę.

Regina.

Dotąd nie zawinął do niej ani jeden tego rodzaju statek.

Achtman.

Ale może przypłynąć jutro, pojutrze, mimo strasznych wojsk Gali. Zresztą w ulu afrykańskim nie myślimy być pszczołami roboczemi dla trutniów. Za dobrodziejstwa cywilizacyi, musimy mieć korzyść handlu. To jest nasz rynek. Dopóki państwo sprowadzaliście i wywozili drobne ładunki, mogliśmy na to patrzeć pobłażliwie. Ale wy rozwinęliście dużą faktoryę, która naszym interesom szkodzi, zwłaszcza że przeciwko nim wobec ludności krajowej występujecie wrogo.

Tak wyglądał zblizka ów radykał, który w kolebce miał zdusić cezara. Wynaleziono go przytem nie odrazu. Podczas gdy Boulanger na pierwszą wieść o opróżnionem stanowisku poselskiem w Paryżu wysunął naprzód swą kandydaturę — republikanie długo macali, wybierali, namyślali się, aż wynaleźli *Jacques'a!* Nie było nikogo, z osobistości bardziej znanych i zasłużonych, któreby mogły wystąpić z nadzieją powodzenia...

Dzień 27 stycznia dla wszystkich bliżej wtajemniczonych w stosunki francuskie i paryskie nie mógł się skończyć inaczej.

Parisis.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZŁUDZENIA DEMOKRATYCZNE.

Poświęcone ludziom, którzy gotowi na wszelką ofiarę dla ludu, krom jednej — przysledzenia fałdów nad nauką społeczną.

I. Zamiast wstępu.

Od niejakiego czasu spostrzegamy w społeczeństwie naszem wzmaganie się prądów, z mniejszą lub większą słusznością przywłaszczających sobie miano demokratycznych. Mówię: z mniejszą lub większą, gdyż nie wszyscy rzecznicy posiadają odwagę doprowadzania głoszonych założeń do wyników logicznych. Że ukazywanie się tego rodzaju programów przedstawia objaw pocieszający, nie będę się nad tem rozwodził, lubo cała dodatniość faktu spoczywa dla mnie nie w zawartości wyznawanych poglądów — dlaczego, wykażemy poniżej, lecz głównie i nawet jedynie w tem, że składają one świadectwo o rozwoju wśród nas jakichś głębszych uczuć, wybuchających oburzeniem na widok obszarpanych, głodnych i zbydlęconych istot ludzkich. Witamy zatem z radością nie same hasła, ale owe wzruszenia, w następstwie których ukazuje się swojska myśl demokratyczna i spieszy, jakkolwiek manowcami, z podaniem dłoni. Zresztą, nie należy mniemać, iż nasze zajęcie się paryami społeczeństwa pochodzi wyłącznie z pobudek wskazanej natury, gdyż istnieje jeszcze inne źródło. Nie trzeba długich wywodów, aby wykazać istnienie zależności pomiędzy wypadkami w Poznańskiem a ostatnią u nas falą demokratyczną. Łatwo to zrozumieć, jeżeli weźmiemy pod uwagę targi szlachty poznańskiej z komisyą kolonizacyjną, oraz zachowanie się w tej sprawie włościaństwa. Chłop przez sam stosunek gospodarczy do ziemi, trzyma się mocno tej matki-karmicielki i bez porównania silniej, niż wielki posiadacz. Z tego powodu i wszelkie próby wywłaszczenia jakiegoś narodu z ziemi napotykają w nim daleko większą oporność, tem bardziej ile że w grę wchodzi jeszcze inny czynnik. Mnóstwo rodzin wieśniaczych znajduje utrzymanie na tej samej powierzchni, która wyżywia zaledwie pojedynczy dwór pański. Z jednym człowiekiem zawsze łatwiejszą jest sprawa, aniżeli z wieloma; w pierwszym przeto przypadku wynarodowienie ziemi przedstawia przebieg daleko szybszy i mniej oporny. Takie znaczenie polityczno-narodowe wielkich i małych posiadaczów ziemskich dobrze uwydatnił Prus w *Placówce,* tam też odsyłamy czytelnika po szczegóły. Otóż, rozpatrując się w ostatniej fazie naszego demokratyzmu, musimy przyznać, że tego rodzaju pobudki odegrały tutaj znaczną rolę. Czynniki inne, w rodzaju pewnej wrażliwości psychicznej, niemogącej ze spokojem patrzeć na upośledzenie człowieka, nie działają zatem same; co więcej i zajęcie się ludem jest dla wielu poniekąd tylko środkiem do dalszych celów. Takie pochodzenie musiało nadać stosowną barwę i samemu prądowi demokratycznemu, a przynajmniej niektórym jego odłamom. W walce narodowościowej włościanie stanowią najważniejszą placówkę, utrzymanie przeto tej warstwy, bez względu, czy to zapewnia społeczeństwu dostęp świeższego powiewu umysłowego, wysunięto na plan pierwszy i w niej zatopiono wszelkie inne...

Słowem, witamy przyjaźnie powstający demokratyzm tylko o tyle, ile stanowi on świadectwo wzrostu wśród nas wrażliwości psychicznej, która wzdryga się na widok nędzy i ciemnoty. Nie możemy jednak tego samego powiedzieć o wypisywanych hasłach, gdyż w gruncie rzeczy przedstawiają one częstokroć chaotyczne zbiorowisko dążeń, nietylko odmiennych, lecz nawet wprost sprzecznych — zarówno w celach praktycznych, jak i filozoficzno-społecznych przesłankach. Jeżeli porównywać będziemy nasze społeczeństwo z bardziej rozwiniętemi ekonomicznie i politycznie, ujrzymy, że do śmietniska demokratycznego wrzucono u nas prądy, które już w pobliskich Niemczech walczą przeciw sobie z zupełną świadomością. Ta jedna okoliczność świadczy o naszej społecznej niedojrzałości, co zresztą jest koniecznym tworem istniejących stosunków społeczno-politycznych. Ażeby nie posądzono mnie o gołosłowność, dowiodę na pojedynczym przykładzie słuszności wypowiedzianych zapatrywań. Przed dwoma laty w lwowskim *Przeglądzie społecznym* ukazał się artykuł pod tytułem *Demokratyzm a liberalizm,* w którym próbowano skreślić istotę pierwszego. Na nieszczęście, nie posiadam pod ręką samej rozprawy, tak iż szczegółowo nie mogę z niej korzystać; pamiętam wszakże, co jest dla nas w obecnej chwili najważniejszem, główne założenie autora, dowodzącego, że rzetelny demokratyzm polegać „winien" na — zaspakajaniu dążeń ludu. Na pierwszy rzut oka, „zdrowy rozsądek" demokratyczny w tem haśle widzieć może myśl jaknajgłębszą. Wszak celem wszystkich wysiłków społecznych, powie nam każda recepta humanitarna, winno być dążenie ku zapewnieniu możliwie wielkiej dozy szczęścia jaknajwiększej liczbie osób. Tymczasem lud stanowi bezwzględną większość w społeczeństwie i zaspakajanie jego pożądań — to wywalczanie dlań warunków szczęścia... Jednakże w takiem rozumieniu rzeczy zapomina się o jednem, iż nazwą „ludu" pokrywane są dążenia, bardzo dalekie od zgodności. Jakoż, czem jest ów „lud" z jego żądaniami? Czy stanowi on zbiorowisko jednolite interesów, harmonijnie splatających się w zgodną dążność społeczną, którąbyśmy mogli uważać za wyrażenie życzeń każdej oddzielnej, jeśli już nie jednostki, tedy grupy ludowej? Chyba nie. Przeciwnie, przyglądając się ludowi z bliska, z łatwością dojrzeć możemy żądania, nawzajem sobie przeczące i wrogie. Chłop-posiadacz, gospodarujący na jakichś 15 morgach, a chłopnajmita, służący u niego jako parobek, wytwórca-rzemieślnik a spożywca-włościanin, kramikarz a robotnik fabryczny, wszystko to są typy ludowe. Wszelako ich dążenia nietylko nie zlewają się w jeden potok, lecz płyną przeciwnymi sobie strumieniami. Cele i interesy są tak odmienne, iż partya społeczno-zachowawcza niemiecka (feodalna) wprost powiada: „jeżeli demokracya społeczna idzie na czele najmitów miejskich ku zwaleniu istniejącego porządku rzeczy, prze

---

Regina.

Skoro już pan wykrzyczałeś wszystko, co wam dolega, a ja bynajmniej przerażoną nie jestem, więc nie pozostaje mi nic innego, jak czekać, aż za jednym niemcem przyjdzie cała potęga jego mocarstwa i zmusi nas do ustępstwa, którego dobrowolnie nie zrobimy.

Achtman.

Pani urągasz mnie? Pani wyzywasz do walki Niemcy? Czy zastanowiłaś się kim jesteś? Jaszczurka kąsająca w łapę słonia, nie byłaby śmieszniejsza. Ja pani pokażę, czyj gniew drażnisz!

Regina (*idzie do okna, otwiera je i woła*).

Chodźcie tu — dwaj!

Achtman.

Co to ma być? (*Wchodzi dwu murzynów*).

Regina.

Odprowadźcie tego pana na granicę naszej osady i nie pozwólcie tknąć nikomu, gdyby nas lub kogokolwiek obraził.

Achtman.

Precz, chamy! (*Wyjmuje rewolwer — murzyni wydzierają mu broń i chwytają go za ręce*).

Regina.

W drogę!

Achtman.

Ja tu wrócę i na nosach udzielnych książąt zagram! (*Oddala się*).

SCENA VII.

Regina, później Makary.

Regina (*sama*).

Ależ ja przecie nie jestem bezsilna! (*Wchodzi Makary*).

Makary.

Co tu się stało, Regino? Kogoś nasi ludzie wyprowadzili!

Regina.

Awanturnika. Achtman przyszedł z żądaniem, ażebyśmy znieśli naszą przystań, poddali się Towarzystwu niemieckiemu, nie wyzwalali niewolników, słowem, ażebyśmy wyrzekli się niepodległości.

Makary.

Nie przyjąłem ich zapomogi, nie mieszkamy na ich terytoryum...

Regina.

Ale znajdujemy się w „sferze interesów niemieckich" — jak mówi dyplomacya berlińska; to dostateczne uprawnienie napaści i zaboru. I oni się mianują krzewicielami kultury!

Makary.

Moje dziecko, od jednego ognia zapalają się teraz wszystkie jej pochodnie. Dawniej wybierałem między narodami, dziś już tylko między ludźmi. Niemcy niewiele gorsi od innych. Poznałaś francuzów i anglików, czy sądzisz, że godniej postępują portugalczycy? Ot przed chwilą opowiadał mi w szkole jeden murzyn o ich gospodarce w Angoli. Osadzają tam swoich zbrodniarzów i pozwalają im trudnić się wszystkiem, a nawet utrzymywać apteki. Wyzyskują ciemny lud w wymianie towarów, oszukują przy miarach i wagach, rozpijają wódką, zarażają chorobami. Za stare mundury huzarskie, czerwony barchan, wstążki, paciorki szklanne i zapałki szwedzkie wyłudzają od krajowców skarby. Pewien namiestnik portugalski, nie mogąc z biedaków wydobyć uciążliwych danin, wpadł na pomysł, który z pewnością oklaskano w Lizbonie: wszystkich płacących podatki mianuje majorami i ubiera ich w spódnice, szarfy wojskowe na biodrach i fezy tureckie. Tym sposobem powstały całe wsie takich majorów. Europa śmieje się z tego dowcipu, bo dla niej Afryka jest wielką sceną jasełek, bo w pogoni za zyskiem zgubiła sumienie i odnaleźć go nie chce. Nie wytrwamy, Regino kochana, mam przeczucie, że i tu nas zmogą.

Regina.

Nie, ojcze, za zbyt krajowcy uświadomili sobie wartość naszych usiłowań i nieenotę opiekunów dotychczasowych. Zwyciężymy chociażby tylko w obrębie naszego wpływu.

Makary.

Dobrze, że nie wątpisz. Siła jest córką wiary. (*Wchodzi Wanika*).

ciwstawmy im podobnie naturalną armię (tj. opartą na obronie własnych interesów) z warstw rzemieślniczo-włościańskich.“ Zaspokójmy np. żądania rzemieślników, wymagających nałożenia więzów cechowych na sprawę produkowania. Bezwarunkowo stoimy na gruncie „rzetelnie“ demokratycznym, jak to też czynią różni galicyjscy demokraci wobec zatargu miejscowego szewctwa *) z fabrykami obuwia. Dajmy na to, żeśmy uczynili zadość pragnieniom rzemiosła — a zatem pewnej części ludu i powstrzymali rozwój znienawidzonego kapitalizmu. Lecz jednocześnie skrzywdziliśmy inne warstwy ludowe, zmuszając je do opłacania haraczu uprzywilejowanej grupie przy zakupnie wytworów. Zresztą, sprawę „rzetelnego“ demokratyzmu można rozpatrywać jeszcze z odmiennego stanowiska. W każdej działalności winniśmy pytać o to, czy nasze zapasy nie będą czemś w rodzaju walki Don Kiszota z wiatrakami. Tymczasem stanowisko tego rodzaju wprowadza nas w błędne koło wysiłków — czerpania wody sitem. Weźmy np. chłopa. Posiadać jak najwięcej na własność gruntu, takiem jest najgorętsze jego pragnienie. Przypuśćmy, że to zrobiono. Nie mówię już o tem, że uwieczniamy zaprawdę lichą a marną sielankę — pracowania od wschodu do zachodu słońca zdala od widnokręgów umysłowych ludzkości, zgodnie z zasadą: „Bartek zapracował, Bertek też zjadł.“ Słowem, nie chodzi nam w obecnej chwili o wartość sielanki, lecz o jej długotrwałość. Tymczasem już w piątem, dziesiątem pokoleniu, wskutek okoliczności, które drobiazgowo poznamy w toku niniejszych artykułów, stan rzeczy przybierze powrotnie postać, o usunięcie której walczymy. Włościanin wystąpi znowu z żądaniami, którym tylko co uczyniono zadość. Wprawdzie temu powrotowi możnaby zapobiedz przez utworzenie majoratów włościańskich, lecz to przyczyniłoby się do powstania proletaryatu bezrolnego — z pośród młodszego potomstwa. A zatem, bezpośrednie zaspakajanie żądań „ludu,“ ślepe uwzględnianie jego głosów wywołuje przedewszystkiem odpowiednie sprzeczności w programach demokratycznych — nieodzowne następstwo wrogości interesów wśród tego chaotycznego zbiorowiska, które ochrzciliśmy nazwą zgodnego chóru. Co więcej, takie postępowanie (przypuszczamy chwilowo, że społeczeństwo jest ciastem, z którego można ulepić i obwarzanek i bułkę) prowadzi do wyłonienia stanów, które zmierzają, po upływie pewnego czasu, do odtworzenia usuniętej teraźniejszości. Oddanie się fali żądań ludowych jest już bezmyślnem rzucaniem się w wir powracających położeń, już pozostawaniem na łasce wręcz przeciwnych prądów. Naturalnie, przy powyższym rozbiorze bynajmniej nam nie chodziło o jakąś dokładność lub wyczerpanie przedmiotu; chcieliśmy jedynie wykazać, jak odłamy demokratyzmu nie zawsze zdają sobie sprawę z istoty rozwoju społecznego. Wprawdzie nieświadomość dróg nie obniża wartości moralnej samych wyznawców, lecz niekoniecznie wysokie daje świadectwo o poznajomieniu się z doświadczeniem dziejowem bardziej posuniętych społeczeństw. Ta chaotyczność celów i dążeń, ta błędność zakreślonych ścieżek skłania mnie do bliższego rozejrzenia się w kwestyi „ludowej“ — celach i dążnościach poszczególnych grup ludowych, ich widokach rozwoju lub zaniku na przyszłość, naukowem wyznaczaniu choroby i leków. Jest to praca, gdzieindziej już dokonana, tak iż w wielu razach będziemy mieli do czynienia z zastosowaniem obcego doświadczenia do swojskiego potoku rozwojowego. Z samej natury przedmiotu, przeważnie zajmiemy się rozpatrzeniem losów włościaństwa, już dla tego, że stanowi ono najliczniejszą grupę w społeczeństwie, już ponieważ najwięcej o niem się mówi w dotychczasowych programach demokratycznych. Takiem będzie zadanie dalszych artykułów. Obecnie jednak, jakkolwiek chcielibyśmy się trzymać jaknajdalej od wszelkich czysto teoretycznych zaciekań, musimy poświęcić nieco miejsca skreśleniu praw rozwoju społecznego. Inaczej musielibyśmy się błąkać bez żadnego drogowskazu.

„Społeczeństwo jest świadomością żyjącą, albo pewnym organizmem wyobrażeń,“ powiadają niektórzy (Espinas). Zgodnie z tem, cały przebieg rozwoju historycznego sprowadzonym bywa przez wielu do ukazywania się genialnych głów, co płodzą nowe a „sprawiedliwsze“ idee; do działalności innych umysłów, które usiłują wcielić je w życie i wreszcie do pokonania dawnych porządków — dzięki wyższości etycznej głoszonych ideałów. Myśl ludzka jest tu jedyną dźwignią postępu, stany rzeczowo-społeczne — jej tworem. Jakkolwiek ułudnem jest powyższe zapatrywanie, daleko wszakże odbiegło od prawdy, przynajmniej tak daleko, iż aby zbliżyć się do rzeczywistości, należałoby je przedewszystkiem postawić na wywrót. Społeczeństwo bynajmniej nie jest gromadą atomów, bezwładnie poddających się wielkim próbom i ideowym podmuchom. Raczej przedstawia ono organizm stosunków przedmiotowych, rozwijający się według własnych praw i wyzyskujący ludzi, jako nieświadomych wypowiadaczy swojego biegu. Dzieje ludzkości, z okresu ustrojów terytoryalnych, podążają w splocie dwojakich zapasów. Naprzód społeczeństwo składa się z licznych a niezawisłych od siebie gospodarstw prywatnych, produkujących dobra materyalne w celu sprzedaży. Od udania się tej sprawy zawisł dobrobyt pojedynczego gospodarstwa, lecz po temu niezbędnem jest posiadanie szczególnych zalet, któreby zapewniły zwycięstwo w wzajemnem współzawodnictwie na rynku towarowym. Taką zaletę stanowi taniość wytworu — okoliczność, jaknajściślej związana ze sposobami technicznymi produkowania. Jedni więc dążą, w imię własnego interesu, do urzeczywistnienia coraz wydajniejszych metod produkcyi; wszyscy zaś, z tej samej pobudki, do nabywania wytworów stąd otrzymanych. Fakt ten, jakkolwiek wydaje się z pozoru błahym, przedstawia klucz do zrozumienia rozwoju dziejowego. Weźmy np. przeszłe stulecie. Wśród porządków cechowo-pańszczyźnianych wyłaniają się nowe gospodarstwa przemysłowe, oparte na wolnym kapitale. Dzięki względnej swobodzie od więzów cechowych, mogą one użytkować z bardziej wytwórczych metod produkowania, niż rzemiosło. Lecz ich rozwój niesie z jednej strony zgubę dotychczasowym metodom oraz opartym na nich warstwom, z drugiej napotyka zawady w istniejącym porządku prawno-politycznym. Zawiązuje się walka, przedewszystkiem ideologiczna; ukazujące się siły wytwórcze poddają krytyce staroczesne urządzenia ze stanowiska własnych interesów, przybranych w szatę odpowiednich ideałów. Nie może ulegać wątpliwości, na czyją szalę przechyli się zwycięstwo. Jakiś panek z pogardą przysłuchuje się krytyce jego przywilejów, lecz bezwarunkowo nabywa przedmioty u przedstawicieli nowych sił wytwórczych, przyczyniając się w ten sposób do materyalnego i, co za tem idzie, spo-

*) Dla uniknięcia możliwych nieporozumień, zauważymy, iż, nie broniąc strony szewctwa, jednocześnie bynajmniej nie stajemy w obronie fabryki. Przeciwnie, oddalibyśmy i jedno i drugie.

SCENA VIII.

Ciż i Wanika.

Wanika.

Przepływający okręt angielski zostawił na stacyi naszej list do ojca Makarego (*podaje list Makaremu*).

Makary.

Przeczytaj Reginiu.

Regina (*otworzywszy kopertę*).

Od Mortona z Madagaskaru. „Czcigodny ojcze. Pomimo odrzucenia mojej propozycyi, nie przestałem być waszym przyjacielem. I dlatego pospieszam ostrzedz was na podstawie niezawodnych wiadomości, że murzyńscy plantatorzy i gospodarze, którzy przez waszą i waszej krewniaczki działalność apostolską obawiają się ucieczek lub buntu niewolników roboczych, a królikowie murzyńscy— utraty dochodu z handlu ludźmi, knują przeciw wam złe zamiary pod kierownictwem Tipu-Tipa. Zamiarom tym sprzyjają ostrożnie niektórzy koloniści, kupcy i agenci europejscy. Nie lekceważcie tego doniesienia.“

Makary.

Nie wolno ludziom czynić dobrze.

Regina.

Więc i plantatorzy murzyńscy są przeciw nam? Czy to możliwe?

Makary.

Czemuż by oni mieli być szlachetniejsi od amerykańskich lub azyatyckich? Tego samego czczą boga — interes. Wszędzie jednacy.

Regina.

Trzeba w tej sprawie pomówić z Galą. (*Do Waniki*). Idź... Co tobie? Blada jesteś... chwiejesz się?

Wanika.

Nie chciałam... opierałam się, ale tak namawiali... Inni pili, więc i ja... jedną szklaneczkę... (*chwieje się coraz bardziej*).

Regina (*poważnie*).

Kto ci dał wódki?

Wanika (*bełkocze uśmiechnięta*).

Niemcy przywieźli beczkę... Ten pan, co go prowadzili, kazał ją roczczęstować między naszych ludzi... I mnie... (*Siada przymykając oczy*). Tu jadą... Powiedzieli, że i panią zaproszą... Ha, ha, ha. (*Kładzie się*).

Regina.

Cywilizacya odbywa wjazd tryumfalny na beczce z wódką! Achtman przed naszym domem szynk założy. To wolno! (*Wpada Gala*).

SCENA IX.

Ciż i Gala.

Regina.

I cóż panie?..

Gala.

Nie spodziewałem się. Bądźcie zdrowi! Nie wrócę bez pomsty!

Makary.

Na kim?

Gala.

Ktokolwiek urządził tę zasadzkę. Dwaj nasi robotnicy, którzy ocaleli i przynieśli mi tę okropną nowinę, wiedzą tylko, że w lesie był ukryty liczny oddział.

Regina.

O czem pan mówisz?

Gala.

Czterech zarąbano, a Dżaka wzięto żywcem. Odbiorę go! (*Wylatuje*).

Regina.

Tipu-Tip?

Makary.

Grzmi coraz bliżej...

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

łeczno-politycznego ich wzmożenia. Słowem, rozwojowi nowych porządków pomagą całe społeczeństwo, zarówno wrogo wie jak sprzymierzeńcy — w imię chwilowej korzyści. Z tego właśnie wypływa żywiołowość rozwoju wśród społeczeństwa terytoryalnego; stacza się on jak potok górski w kierunku niezależnym od świadomości ludzkiej. Tym trybem wśród pierwotnego feodalno-markowego ustroju tworzą się miasta; w miastach, na łonie ziemiaństwa miejskiego, rzemiosła; wreszcie, wśród państwa cechowo-pańszczyźnianego wolny kapitał. Cały postęp dziejowy polega na powstawaniu i zwycięstwie coraz wydajniejszych sił wytwórczych, które wzmagają się dzięki nieświadomemu współdziałaniu całego społeczeństwa, lubo niosą zagładę niektórym jego grupom. Rozwój ideowy jest tylko odbiciem tego przebiegu. Atoli, obok głównego prądu, postępowego, podążają jeszcze inne. Historya społeczeństw terytoryalnych porusza się w sploeie bezustannych zapasów klasowych. Pan feodalny, a członek staroczesnej marki, baron a poddany, majster a czeladnik, pracodawca a najmita, oto postacie z konieczności ścierające się nawzajem, gdyż dobrobyt jednej znajduje się w prostym stosunku do uciemiężania drugiej. Walki klasowe nie zawsze rozwijają swe dążności w kierunku, w którym prze rozwój wytwórczości, lecz w każdym razie obrót ich ostateczny zależy od stanowiska względem tego postępowego ruchu. To też i samo zwycięstwo idej humanitarnych jest ściśle zakreślone warunkami przedmiotowo - społecznej ewolucyi. Tylko o tyle mogą wyjść one zwycięzko, o ile wyplywają na tle postępu wytwórczego. Tymczasem demokratyzm zdawkowy, rządzący się zasadami „zdrowego rozsądku“ i nienawiścią ku „doktrynerstwu,“ zupełnie nie uwzględnia ani istoty społeczeństwa, ani też widoków, właściwych oddzielnym grupom ludowym na przyszłość. W chaotycznem zbiorowisku interesów, które zawarł pod nazwą „ludu,“ objął rzeczy najrozmaitsze. Znalazło się tu i rzemiosło, przedstawiające staroczesną warstwę produkcyjną, ginącą wskutek zjawiania się nowych metod wytwarzania, i najmictwo fabryczne, powstające właśnie w następstwie zapanowywania tych ostatnich. Pierwsze dąży ku powstrzymaniu rozwoju kapitalizmu, drugie na dzisiaj żąda tylko ograniczenia samowoli i wyzysku ze strony kapitału. W dalszym ciągu i najistotniejszy punkt „rzetelnego“ demokratyzmu, tj. zaspokajania dążeń ludu, otrzymuje należyte oświetlenie. Dążenia te są ukształtowanemi odpowiednio do widnokręgów ekonomicznych każdej oddzielnej grupy. Tymczasem samo podścielisko materyalne warstwy może być nieodzownie skazanem na zagładę. Zaiste, tragi-komiczne położenie! Walczy się za dobrobyt pewnego odłamu ludowego zgodnie z jego życzeniami, wówczas gdy jednocześnie przyczynia się do ekonomicznego wzmożenia wrogich mu potęg wytwórczych! Jest to w dosłownem znaczeniu budowanie zamków na topniejącym lodzie. Wobec tego, prądom demokratycznym, o ile one głoszą podporządkowanie wszystkich wyjawów społecznych żądaniom „ludu,“ przeciwstawiamy tę prawdę, że rozwój społeczny tylko o tyle uwzględnia nasze pragnienia, ile one są odbiciem dynamicznych dążności jego. Zamiast więc wcielania w życie ideałów tego różnobarwnego zbiorowiska, skutecznie popierać możemy tylko dążące w zgodzie z rozwojem sił wytwórczych i dopiero na podstawie tego ostatniego walczyć o humanitarniejsze ukształtowanie społeczeństwa. Takie postawienie kwestyi zmusza nas do zerwania z hasłami dawnego demokratyzmu; możemy zachować jedynie poważanie dla ludzi, którzy walczyli i walczą pod jego sztandarami, lecz nigdy nie damy poklasku ich programom. Drogi nasze są różne: ich— to zaspakajanie żądań „ludu,“ nasze — staniecie na gruncie warstw, przed któremi rozwój społeczny ściele szeroką przyszłość i przytem jedynie tych, w interesie których spoczywa najhumanitarniejsze rozwiązanie obecnych niedomagań. Lecz tu nasuwa się w całej doniosłości pytanie najważniejsze— o formule przyszłego rozwoju ekonomicznowytwórczego, jako podścielisku wszelkiego innego. Postaramy się odpowiedzieć i na to zagadnienie.

K. R. Żywicki.

LISTY PETERSBURSKIE.

27 stycznia.

Choroba, którą w Anglii nazywają *spleenem*, znaną jest w Petersburgu pod imieniem *chandry*. Przyczyną jej ma być mgła, pochłaniająca słoneczne promienie i tworząca mrok. Nawiedzony tą chorobą staje się ciężarem samemu sobie i bliźnim: usiłowania ludzkości wydają się mu błahemi, ich zabiegi marnymi, a sama ludzkość — nazwą bez znaczenia. W takich to chwilach rodzi się pytanie: czy węża-dusiciela też Bóg stworzył? A jeżeli tak — na co są potrzebni wszyscy dusiciele i tacy, co posiadają zimną krew i tacy, co posiadają gorącą... naprzykład „Tipu-Tip“?

Przejdźmy jednak do spraw bieżących: członkowie zarządu Towarzystwa dobroczynności poruczają dwom ze swego grona panom (adwokatom Połujańskiemu i Knollowi) urządzić na korzyść towarzystwa koncert. Jest to zadanie nader kłopotliwe. Nie licząc całej masy drobnych zabiegów, trzeba zgryźć dwa nader twarde orzechy: pierwszy — ubłagać artystów, ażeby przyjęli udział, drugi — rozprzedać bilety. Nie dziw tedy, że panie pochopnie przyjmują na siebie część ciężaru — mianowicie przy rozprzedawaniu biletów.

Częstokroć się zdarza, że ktoś z artystów nie przyjedzie, czasem, nie mogąc zwerbować wybitniejszych, trzeba się zadawalniać mniej znanemi osobistościami, to też koncertom w celu dobroczynnym publiczność trochę niedowierza i niezbyt żarliwie niesie grosze. Więc panie, rozprzedające bilety w gronie swych znajomych, rzeczywiste dobro czynią...

Tym razem stał się dziw nad dziwy: jedna z pań, która zwykle rozprzedawała ich więcej, niż za tysiąc rubli, umyła swe ładne rączęta i rzekła: ażalim wasza służebnica?..

Na szczęście, większy jest Pan Bóg, niż Rymsza — nic się zbyt złego nie stało. Czystego dochodu otrzymano tyle, co i przeszłego roku — jeżeli się nie mylę — około półtora tysiąca rubli. Zaś artyści stanęli jak jeden i dowiedli, że dobroczynne koncerty mogą być nader piękne. Co do pięknej pani, rodzi się przypuszczenie, że *chandra* wszystkiemu winna; jeżeli zaś nie — za zrzeczenie się pomocy tam, gdzie wszelka drobiazgowa duma, wobec cierpiących, pominnaby umilknąć; gdy pojedziemy na *tamten* świat — oj wstydu, wstydu będzie!

Mgła pochłonęła wszystkie promienie i kolorów tęczy nie widzę... O gdyby nie *chandra*!.. napisałbym inaczej. Znalazłbym, że pp. P. i K. powinni byli z zarządu w tejże chwili udać się do owej pani i rzec: Dobrodziejko! bądź honorową mistrzynią koncertu, albowiem co się stanie, bez ciebie się nie stanie... Natenczas wszystko stałoby się dobrze.

Najlepszym miesięcznikiem nazywają dziś *Ruskij Mir*. Jest to pismo mniej suche, niż *Wiestnik Jewropy* i poważniejsze, niż *Siewiernyj Wiestnik*. Z wybitniejszych, Uspienskij chętnie tu zamieszcza swe utwory, a w ostatnich miesiącach Korolenko drukował powiastkę p. t. „Z dwóch stron, czyli opowiadanie o dwóch stanach ducha.“ Jest to utwór ładny, lecz jak na Korolenkę — słaby. Młody student Gawryłow wierzy w ludzkość, piękno, szlachetność... a na jednego ze swych towarzyszów, Urmanowa, liczy jak na Zawiszę; mianowicie, że ten, gdy ukończy szkoły, pojedzie do rodzinnych stron północnych, oświeci samojedów, połączy ich bratnim sojuszem z całą Rusią, sojuszem opartym na równości i braterstwie. Z innej strony tworzy, między innymi, jakiegoś idealnego amerykanina, pełnego dzielności, który pracuje nie dlatego, by stać się zwykłym plantatorem, lecz dla dobra ogółu. Wiąże amerykanina nicią z krajem rodzinnym itd. itd.

W ogrodzie akademickim przechadzał się częstokroć staruszek generał. Pewnego razu obok niego pojawia się młoda dziewczyna, pełna energii i życia. Skąd, kto ona? Urmanow dowiaduje się, że to córka starego, że przedtem z jakimś jegomością wyjechała do Ameryki i tam założyli kantor — podobno w nazbyt wzniosłym celu, ale przy handlu bawełny za daleko zaszli i potrzebują pieniędzy; jeżeli zaś w czas nie dostaną, wszystko może runąć. Dziewczyna ma znaczne pieniądze po matce, lecz stary złożył je w banku z warunkiem, że ona może je odebrać albo za wyraźnem jego zezwoleniem, albo po jego śmierci, lub w takim razie, gdy w Rosyi wyjdzie za mąż. Tymczasem ów amerykanin nawet ożenić się z nią nie może, gdyż jest żonatym...

Gawryłow oburza się, że stary ciemięży serca dwóch ludzi... nierad, że jest młodym, gotówby ożenić się z nią *fikcyjnie*, niechby brała pieniądze i wyjeżdżała, gdzie serce i obowiązek ją wiodą.

Urmanow uskutecznił ten pomysł. Zmówił się z amerykanką, potrafił podobać się staremu — i ożenił się. Na nieszczęście zakochał się w swej mniemanej żonie; po jej odjeździe chodził zgnębiony i gdy na swój list otrzymał od amerykanina odpowiedź, że na żadne współubieganie się o względy tej, którą i tak posiada, nie zgadza się, że każdy z nich postąpił tak, jak mu przekonanie kazało i żadnych zatargów mieć nie powinni — Urmanow rzucił się pod pociąg kolei.

Wszystko, com streścił, jest rzeczą naturalną; odtąd zaczyna się dziw. Gawryłow, dowiedziawszy się od kolegi, że ktoś zginął na stacyi kolei, żartuje, że wszystkich nas czeka koniec i po umarłych nie warto wzdychać... jednak, niby przeczuciem wiedziony, poszedł na stacyę. Naprzód znalazł w śniegu list od amerykanina, a potem ujrzał poszarpane zwłoki Urmanowa...

Sposępniał, całe miesiące z nikim prawie nie rozmawia, z idealisty staje się cynikiem, naigrawa się ze wszystkiego; wszędzie widzi nicość, śmierć, zgniliznę. Odstręczył od siebie towarzyszów, a nareszcie i Tanię, przyjaciółkę, która latem na parostatkach Wołgi pełniła urząd kasyerki, a na zimę wracała do domu... Widział w niej ideał kobiety, pionierkę emancypacyi, zyskał jej głęboką przyjaźń, a jak się potem okazało i miłość; teraz gdy wróciła z Wołgi, naprzód unikał, lub obrażał ją potrosze, aż nareszcie cynicznie począł urągać jej i jej towarzyszce—dobrodusznej Sokołowej. Tego było zanadto! Tania odtrąciła go i wyjechała. Na miejscu ich rozstania się, przyjaciel znalazł go omdlałego i zawlókł do domu.

Tyfusem skończył się stan zaburzenia.

Na zakończenie opowiadania Gawryłow wybiera się odszukać Tanię, albowiem po wyzdrowieniu znów wierzy, kocha...

Tyle!

Mniemałbym, że dla tak wielkiego zaburzenia duszy i organizmu, przyczyna, którą wykazał Korolenko, jest za słabą. W każdym razie nie Gawryłowa stargano, a nawet nie jego przekonania, tylko nadzieje, które pokładał w Urmanowie—więcej, prawdziwie, nic się nie stało! Skądże ta *chandra* niezmierna, tembardziej, że i wypadek

miał miejsce nie w mglistym Petersburgu, lecz około Moskwy.

Psychologia zaburzenia: stan duszy, cynizm — są bardzo naturalne... tylko pobudek brak.

Ze wszystkich stron Cesarstwa zjechali się doktorzy i radzą o hygienie. W następnym liście opiszę wystawę hygieniczną, która się mieści w „Solanom horodkie."

N. B.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań, 1 lutego.

Kolonizacya. — Dola kolonistów. — Komplementy ich dla Bismarka. — Olschowa a Olszowa. — Pięć fenigów. — Napisy polskie. — Niemiecka opera i jej bankructwo. — Wystawa sztuki.

Trzeba przyznać, że kolonizacya działa dość licho, a dane pozwalają wnioskować, że jak ów przysłowiowy kij, mający dwa końce, może się i swemu twórcy dać we znaki. Koloniści z dalekich prowincyj niemieckich, łudzeni przez rząd, wyobrażali sobie, że posiadając kilkaset, kilka tysięcy marek, można pod jego ochroną w Poznańskiem opływać w szczęściu, jak pączek w maśle. Każdy dostał grunt na raty amortyzacyjne, ale nie nawykły do mieszkania pod naszą strzechą, musi sobie wystawiać dom z owem typowem u niemieckiego chłopa pierwszem piętrem; na ten cel wydaje resztę gotówki, czasem się zapożycza. Gdy trzeba dalej kupić pług, ziarno na zasiew, zapłacić za mięso, okrasę, ubranie, doktora, aptekę, chrzest, pogrzeb, ślub pastorowi, ponieść nadto wysokie koszta sprowadzenia go furmanką, oraz dyet, podczas gdy dawniej w ojczyznie pastor był we wsi, pod ręką, wtedy kolonista otwiera usta, ale z nieba skarbu państwa niemieckiego nic mu nie spada.

Ale to dopiero początek biedy. Wielka ojczyzna, miasto przyrzeczonej pomocy i opieki, wpada w postaci egzekutora podatkowego na „rodaka," no — i sprzedaje mu krowę na pokrycie niezapłaconego podatku.

Słyszałem kolonistów niemców, przeklinających komisyę kolonizacyjną, która ich oswobodziła. W Szląskowie, koło Pstrosina, wymyślają słowami, któreby kanclerzowi bynajmniej nie pomogły na reumatyczne bóle w skroniach — przysięgają, że gdy przyjdą wybory, głosować będą na — polaka... oni, koloniści!

W toczonej tu a zaciętej walce o byt, jak w tragedyi Shakespeare'a, spotykamy się ze scenami, którym nie brak rzetelnego humoru.

Znany w szerokich kołach obywatel ziemski p. D. z Olszowy pod Kępnem, wystosował do ministeryum prośbę, aby urzędy powiatowe nie przekręcały nazwy jego wioski na „Olschowa." Ministeryum zgodziło się i uczyniło zadość prośbie. Landrat, przesyłając pocztą, już po decyzyi ministeryum, panu D. jakieś pismo, zaadresował je „in Olschowa." Pan D. nie przyjął przesyłki, twierdząc, że miejscowość o nazwie „Olschowa" nie istnieje wcale na kuli ziemskiej. Landrat przesłał wtedy powtórnie toż samo pismo, nie pocztą jednak, lecz przez woźnego, skazując przy tej sposobności p. D. na zapłacenie porta pocztowego w ilości 5 fenigów (2 kopiejki), z powodu, że tenże korespondencyi nie przyjął i naraził pocztę na daremną ekspedycyę.

Pan D. stanowczo odmówił zapłacenia 5 fenigów. Landrat po przeprowadzeniu wielu urzędowych formalności wezwał królewski urząd egzekucyjny, aby na pokrycie owej należności zajęto ruchomości pana D., gdyby zaś tych nie było, sprzedano majątek Olszowa. Istotnie, zasekwestrowano panu D. — stary płaszcz, który zostanie sprzedany na publicznej licytacyi, gdyż pan D. nie chce zapłacić pięciu fenigów.

Nie licuje z powagą potężnego państwa mieszanie się do niedorzecznej walki brukowej. Policya poznańska zarządziła, aby wszystkie nazwy ulic, umieszczane na murach domów narożnych, wypisano w języku niemieckim. Rada miejska, której prawa naruszono tem rozporządzeniem, wzięła je pod rozwagę. Przeciw rozporządzeniu policyi głosowała garstka polaków, wszyscy... żydzi poznańscy, których uważają za germanizatorów i kilku niemców liberalnych; tej też partyi wniosek przeszedł, a magistrat wystosował do ministerstwa przedstawienie, aby rozkaz zniesiono i wprowadzono napisy w obu językach. Ministerstwo odmówiło. Ze względu jednak, że rozporządzenie policyi zakazuje tylko na rogach ulic napisów polskich, właściciele domów środkowych pozostawili na murach, szyldach i odrzwiach nazwy polskie. Na rogu więc czytamy „Sapieha Platz" a na wszystkich niemal domach „Plac Sapieżyński."

W Berlinie zorganizował p. Winter operę, tusząc sobie, że w Poznaniu, gdzie rzadko gości opera, zrobi kasę. Wydzierżawił tedy teatr polski i wystawił wcale przyzwoicie z dość dobrą obsadą kilka oper. Niestety, polacy nie uczęszczali na przedstawienia, bo dawane były w języku niemieckim, niemcy także, bo śpiewano w gmachu teatru polskiego. Na widowisko przybyła garstka gorliwców muzycznych. Nie pomogło sprowadzenie utalentowanej śpiewaczki polskiej, p. Jankowskiej, zaproszenie na gościnne występy p. Brajnin, także polki. P. Winter zerwał kontrakt rozpędził trupę i drapnął do wielkiej ojczyzny.

Do dzisiejszej kroniki dołączę jeszcze kilka słów o wystawie sztuki w budynku teatru polskiego.

Wyobraźcie sobie lokal, którego podłoga zawiera kilkanaście metrów kwadratowych, w którego okna cały dzień słoneczko świeci, w którym duszno, brak miejsca dla kanapy, stolka, nawet dla powietrza...

Czy nie można znaleźć lepszego i stosowniejszego pomieszczenia? Owszem można, trzeba tylko trochę dobrej woli i szczerszego zajęcia się. Mam z najlepszego źródła upewnienie, że krakowskie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych wynajęłoby z własnych a — jak wiadomo — znacznych funduszów lokal, gdyby Poznań dawał rękojmię, że zakupieniem akcyj i biletami wstępu pokryje koszta najmu. Jeśli zważymy, że za tysiąc marek rocznie można mieć dość przyzwoity lokal, złożony z kilku pokojów, a tysiąc marek stanowi nabycie 111 akcyi, widzimy, że istnienie wystawy w Poznaniu zależy od tego, czy znajdzie się stu jedenastu takich, którzy zechcą za 9 marek być członkiem Towarzystwa, mieć całoroczny wolny wstęp z rodziną na wystawę, otrzymać bezpłatne premium i uczestniczyć w losowaniu dorocznem dzieł sztuki.

Tanio jak barszcz.

Sądzę, że pomyślą o tej sprawie obywatele tutejsi, zwłaszcza hr. Engeström, który z taką gorliwością i poświęceniem się dba o los tutejszej wystawy. Zdziałał on bardzo wiele w tej mierze; sądzimy, że sprowadziwszy już obrazy, postara się i o odpowiedniejsze ich umieszczenie. Niepodobna wątpić, że w Poznaniu znajdzie się 111 takich, którzy nabędą akcye; wszak akcyonaryusz wystawy niemal więcej bierze od Towarzystwa, niż mu płaci...

Malart.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ŚRODKI ZARADCZE.

Coraz częściej spotykamy w pismach rozmaitych obok skarg na ciężkie czasy „rady praktyczne" dla chwiejących się rolników. Co za bogactwo pomysłów! Między innymi korespondent *Gazety radomskiej* z okolic Szydłowca taką podaje skuteczną receptę: a) Kredyt na nizki procent gdzieś przez bank jakiś dla rolników i większych posiadłości otworzony; b) ukrócenie kradzieży i napadów na mienie rolników przez rozzuchwalonych dzisiaj złych ludzi, czego przecież dawnymi czasy nigdy nie bywało; c) unormowanie płacy służby gospodarskiej i najmów, aby te licowały z dochodem, który otrzymujemy z gospodarstwa naszego. Wobec tego, że dzisiaj płacą nam za korzec żyta rs. 3 kop. 50, za pszenicę rs. 5 kop. 50, opłacamy podatki, najem robotników i służbę dworską tak jak wówczas, gdy płacono nam za żyto po rs. 6, za pszenicę po rs. 9—10 za korzec. Ta nieproporcyonalność opłat odpowiednio do dochodów z gospodarstwa rzeczywiście nas rolników gubi i do ruiny doprowadza." Więc nareszcie odkryto źródło ruiny szlacheckiej! Trzeba tylko *unormować płacę*, aby *licowała z dochodem* większych posiadaczy ziemskich, tj. zniżyć wynagrodzenie najemnikom, którzy także dotykalnie odczuwają pogorszenie się ogólne warunków ekonomicznych; płacą drożej za sól, zapałki, okrasę, odzież, znacznie więcej wydatkują na utrzymanie inwentarza, jeśli posiadają szmat ziemi, w który więcej potu wyleją, niż z niego soków do podtrzymania istnienia wycisną. Wobec powyższych *przyczyn niedoli* jakże dziwnie brzmi fakt poniżej umieszczony w tem samem piśmie: W pewnej gminie powiatu końskiego odbyły się wybory na nowego wójta. Poprzedni, człowiek bezstronny, bezinteresowny, prawy, inteligentny, powszechnie lubiany i szanowany, pomimo znacznej ilości głosów, nie utrzymał się na swym urzędzie, co głównie zawdzięcza jednemu z wyborców, należącemu do „inteligentnych obywateli kraju." Faktem przy tej okoliczności jest, że *ktoś* przed wyborami hojnie utraktował wyborców, bo im wystawił *pięć* ćwiartek piwa i kilka garncy gorzały. Ten sam obywatel z tradycyjnem usposobieniem knowań na wyborach, co się nie wahał wydać kilkadziesiąt rubli na poczęstunek, może się chwycić oburącz rady swego „kolegi po pługu": wzmacniać podstawy swego bytu „unormowaniem płacy służby gospodarskiej i najmów, aby te licowały z dochodem gospodarskim." Panowie stękający, płodni w pomysły, posłuchajcież rady wierszowanej *szlachcica* (w *Gaz. rad.*), z której mały wyjątek przytaczam:

> „Za granicę nie woźić do kąpieli jejmości;
> Niech się w wannie wykąpie, albo też w sadzawce,
> Lub przy młynie w upuście, w zrobionej przystawce
> Używa rzecznych kąpiel, używa pryszniców.
> Taka kąpiel najzdrowsza dla żony szlachcica.
> Niech dzieci sama karmi, sama w domu chowa,
> A będzie, jak ryba, wesoła i zdrowa.

Możeby takie i podobne inne „unormowanie" wydatków nie dopuściło do ostatecznego środka zalecanego przez szlachcica dla marnotrawnych: „Przystawić dziesięć rzemiennych pijawek co piątek niżej krzyża."

Na większą uwagę zasługują środki zaradcze, podane przez jednego z korespondentów *Gazety rolniczej*: Utworzenie prowincyonalnych, powiatowych lub gubernialnych stowarzyszeń, albo kółek rolniczych, w których skład wchodziliby ludzie świadomi rzeczy. Obowiązkiem owych komitetów byłoby wysyłanie przy każdem zapotrzebowaniu na miejsce członka, któryby na gruncie zbadał miejscowe warunki, wyszukał przyczyny braku dochodów majątku i zaprojektował plan organizacyjny, który poddany krytyce na zebraniu członków, stanowiłby dla gospodarza niezaradnego wskazówki. Nadto obowiązkiem takich stowarzyszeń byłoby urządzanie płodzimianów, zaprowadzanie koniecznych melioracyj, wyszukiwanie nowych źródeł dochodu. Coś podobnego wkrótce nastąpi w Cesarstwie (o ile sobie przypominam, na wniosek

departamentu rolniczego), gdzie już się tworzą posady inspektorów gospodarskich. Rzecz to bardzo naturalna — póki jednostki nie posiądą dostatecznej ilości światła, muszą iść za gromadą przewodników z pochodniami. Jest to rzecz kłopotliwa, ale konieczna, póki poczucie obowiązku zdobywania wiedzy tak się nie wrośnie w zwyczaje szlacheckie, jak wypicie kieliszka gorzałki przed obiadem.

Warte są rozpowszechnienia uwagi profesora niemieckiego, Juliusza Kühna, wypowiedziane na posiedzeniu centralnego towarzystwa gospodarczego dla prowincyi saskiej. Kładzie on nacisk na wszechstronne i gruntowne wykształcenie w zawodzie gospodarczym. Po odbytej poprzednio dobrej praktyce konieczne jest dwuletnie naukowe kształcenie się w rolnictwie. Miarą przygotowania wstępnego powinno być świadectwo dojrzałości, jeśli zaś te przed upływem 19 lat życia nie da się osiągnąć, to przynajmniej świadectwo przygotowania, umożebniającego słuchanie z pożytkiem wykładów uniwersyteckich. Po wyjściu ze szkół powinien uczeń naprzód się kształcić w praktyce gospodarczej i to o ile możności gruntownie najmniej przez dwa lata. Musi zapoznać się ze wszystkiemi czynnościami i robotami, wykonywając każdą z osobna własnoręcznie. Im więcej przechodzić będzie znoju i utrapień, tem lepiej dla niego. Gdyby któremu z młodzieńców bezpośrednio po odbytej dwuletniej praktyce nadarzyła się sposobność urzędowania w gospodarstwie, mógłby z niej korzystać, nie dłużej jednak jak rok jeden, szkoda bowiem czasu. Wszechstronna wiedza u rolnika — kończy prof. Kühn — umożebniając mu głębszy pogląd i rozpoznanie przyczyn zagadkowych nieraz zjawisk, wywołuje tem większe, bo uzasadnione zamiłowanie zawodu, czyni go zdolnym poważniej pojmować także etyczne zadanie swego społecznego stanowiska. Przymiot to niezmiernej doniosłości, który mianowicie w racyonalnym względzie z tylu poważnemi do rolnika występuje wymaganiami, którym on bez jasnego poglądu na ustrój i kierownictwo państwowe, oraz na naukę ekonomii politycznej bez łatwego stąpania w olbrzymiej dziedzinie nowoczesnej wiedzy i oświaty, w dążnościach sztuki i literatury, prawa i moralności, nigdy w życiu, nawet w przybliżeniu podołaćby nie mógł.

Dla górnictwa w Królestwie Polskiem.

Niedawno pisaliśmy o nowem prawie górniczem dla Cesarstwa, zestawiając przytem dawniejsze przepisy wydane dla Królestwa. Obecnie ogłoszono Najwyższy Ukaz, określający, w jaki sposób mogą być stosowane przepisy z d. 14 marca r. 1887 do właścicieli kopalń w Królestwie Polskiem: 1) Cudzoziemcy, oraz utworzone na zasadzie praw zagranicznych towarzystwa i spółki handlowe i przemysłowe, władające na mocy odpowiedniego zezwolenia gruntami w Królestwie Polskiem, mogą nadal utrzymywać powierzchnię gruntów dla wydobywania ciał kopalnych tylko w obrębie swoich posiadłości i bez prawa nabywania w tym celu sąsiednich majątków. Nabywanie zaś przez powyższe osoby i towarzystwa nowych powierzchni do wyzysku w obrębie majątków, do nich nienależących, chociaż co do ustąpienia rzeczonych powierzchni nastąpiła poprzednio dobrowolna zgoda ich właścicieli, pozostaje nadal wzbronionem. 2) Cudzoziemcy, oraz towarzystwa i spółki utworzone na podstawie praw zagranicznych, które otrzymały w Królestwie Polskiem przed wydaniem przepisów (14 marca 1887 r.) obszary ziemi do wydobywania ciał kopalnych, lub które nabyły przed wydaniem rzeczonego prawa od innych osób albo towarzystw prawo do wyzysku, zachowują i nadal (bez względu na to, czy wydano już im odpowiednie akta, czy nie) wszelkie prawa nadane im przez Najwyżej zatwierdzoną (28 marca 1870 r.) ustawą w poszukiwaniach górniczych i wydzielaniu powierzchni w celach wyzysku w granicach wydzielonych obszarów, oraz po za ich obrębem. Wymiary tudzież położenie potrzebnych do robót górniczych gruntów, leżących po za obrębem wydzielonych obszarów, wyznacza w każdym oddzielnym wypadku miejscowa władza górnicza. 3) Cudzoziemcy, oraz towarzystwa utworzone na podstawie praw zagranicznych, które porobiły odkrycia przed wydaniem przepisów z d. 14 marca 1887 r., mogą przelać aktami notaryalnymi prawa swoje, co do poczynionych odkryć i starań, na poddanych ruskich; przyczem ci ostatni otrzymują prawa do wyzysku na zasadzie podań i odkryć swych poprzedników.

ZŁOTO ZACHWIANE.

Ktoby przypuszczał, że niemal powszechnie oklaskiwana poprawa kursu waluty wywoła zamęt i rozpacz śród wytwórców... złota! Jednak tak jest w istocie. Według doniesień pism ruskich jednocześnie z poprawą kursu rubla cena złota w sztabach zniżyła się o tyle, że niektórzy wytwórcy szlachetnego kruszcu, nie zdoławszy sprzedać swych asygnacyj po niższym kursie, znajdują się obecnie w krytycznem położeniu i zmuszeni są niemal likwidować swe interesy. Jedno z lepszych miejsc złotodajnych w systemie koczharskim, gubernii orenburskiej, Nowikowo, dające rocznie dwanaście pudów złota rodzimego, jest wystawione na sprzedaż. W innej kopalni zawieszono roboty. Poruszony tymi szczegółami jeden z wytwórców złota i pełnomocnik firm wyjechał z Ekaterynburga do Petersburga, celem starania się o jakiekolwiek środki zapobiegawcze. Dalsza bowiem poprawa kursu waluty może spowodować groźne przesilenie w przemyśle złota. Ciekawiśmy, jakie to będą te „środki zapobiegawcze" i jeśli się znajdą, to czy się dadzą łatwo i prędko zaprowadzić? Zwykle tego rodzaju ratunek przychodzi bardzo powoli, a więc i w tym razie może spaść grom na szczęśliwych posiadaczy żył i piasków złotych, zanim niezależna od niespodzianek ekonomicznych po za granicami państwa, pomoc nadejdzie. Cokolwiek w lepszych warunkach znajduje się platyna, dzięki tylko zwiększaniu się popytu do Anglii, gdzie miejscowe zapasy poczęły się już wyczerpywać. Ceny platyny surowej zniżyły się tylko o 50 rubli na pudzie, który kosztuje obecnie około 5,000 rs.

Z. P.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Zjawisko snu zimowego u człowieka. Nazwisko d-ra Tannera znanem jest z powodu jego prób głodowych. Obecnie ma przystąpić on do innych doświadczeń publicznych, mianowicie wykazać, iż człowiek posiada uzdolnienie do tego stanu fizyologicznego, który zowiemy zimowem uśpieniem. Niejaki p. Aleksandre w jednym z ostatnich numerów *Revue scientifique* rozpatruje, czy jest to możliwem. Nie chodzi mu o rozstrzygnięcie, czy próba d-ra Tannera zostanie uwieńczoną powodzeniem, lecz tylko, czy nauka daje jakąkolwiek nadzieję w tym względzie. Streścimy ogólne wyniki tego artykułu.

Otóż wśród ssaków, zwłaszcza niektórych gatunków, spostrzegamy wiele przykładów usypiania na zimę. W ten sposób zwierzę ma możliwość przetrwania przez zimę wobec zmniejszonych źródeł pożywienia i spadku temperatury. Bezpośrednio przed czasem uśpienia, znajduje się ono w stanie gorączkowego podniecenia; szuka samotności i miejsca, wolnego od wszelkich hałasów i podrażnień— już w swojem legowisku podziemnem, którego otwory starannie zasypuje, już w jakiemś innem ciemnem ustroniu. Kiedy temperatura spadnie do 0°, zwija się ono w kłębek, zamyka oczy, zaciska szczęki, o ile umie zabezpieczając się od zetknięcia z powietrzem. Zwolna oddychanie traci na mocy, krążenie krwi odbywa się słabiej, temperatura zniża się, póki nie stanie na równi z otoczeniem. Gdy sen doszedł do należytego stopnia napięcia, oddech staje się bardzo rzadkim a uderzenia serca słabemi i powolnemi. Zwierzę może być wtedy zupełnie pozbawionem powietrza. Długość takiego stanu może trwać do czterech miesięcy, zwierzę przebudza się jednakże od czasu do czasu dla wydzielenia odchodów, lecz dopiero z podniesieniem się temperatury do 9—10° zaczyna dawać żywsze oznaki życia i wreszcie z nastaniem normalnej temperatury wstępuje zupełnie w spełnianie czynności zwykłych. Właśnie dr. Tanner ma na myśli podobnego rodzaju uśpienie. Już okoliczność, że tego rodzaju stan fizyologiczny spotykamy u ssaków, pozwala mniemać, że istnienie jego u człowieka nie jest zupełnie nieprawdopodobnem. Zresztą objawy letargiczne nie należy mięszać z uśpieniem zimowem, gdyż popierwsze nie są one dowolnymi, powtóre zaś odznaczają się często bardzo silnem natężeniem czynności życiowych. Natomiast opowieści o stanach, pokrewnych uśpieniu zimowemu, spotykamy w opisach Indyj Przedgangesowych. Autor artykułu przytacza kilka podobnych wypadków. Oto jeden z pośród nich. Pewien fakir przyszedł do jednego z tuziemnych władców, aby oświadczyć, iż zgadza się na pogrzebanie żywcem w pudle, bez pokarmów i napojów. Zamknięto go w skrzyni, spuszczono do podziemia, zaryglowano mocno wszystkie drzwi i nadto postawiono straż dla przeszkodzenia możliwemu podejściu. Po upływie 40 dób, radża w towarzystwie kilku wyższych oficerów angielskich przystąpił do wyjęcia fakira. Znaleziono go w postawie siedzącej, z nogami na krzyż; otwory nosa były zatkane woskiem, język ściśle przylegał do podniebienia. Głowę jego zmoczono wodą gorącą, wyjęto wosk z utworu nosa, otworzono usta i język wprowadzono w normalne położenie, pocierając wargi masłem. Podobnież nacierano nogi i ramiona. Człowiek zwolna odzyskiwał życie, puls jego uderzał silniej. Uczynił kilka wysiłków wydania głosu, lecz tak słabych i cichych, iż niepodobna go było zrozumieć. Wreszcie zupełnie wrócił do życia. Z innych opisów można zauważyć, iż poddający się podobnym doświadczeniom zawsze troskliwie oczyszczali swe ciało i nawet organy trawienia, oraz uważnie zamykali otwory uszu i nosa woskiem, usta zaś przez odpowiednie położenie języka.

Pytanie tylko, o ile te opowieści zasługują na wiarę, jakkolwiek nie mamy żadnych powodów przekonywających jakiejś względem nich nieufności. W każdym razie, wraz z faktami uśpienia zimowego u zwierząt, czynią one próbę przyszłą d-ra Tannera w pewnym stopniu prawdopodobną.

K.

WYNALAZKI.

Z technologii. Pierwiastkami w chemii nazywamy te ciała, które nie dają się rozłożyć na różnorodne części składowe. Pierwiastków takich liczono w 1847 roku 59, w ostatnich czasach liczba ich wzrosła do 66, gdyż analiza chemiczna z każdym rokiem nowe wykrywa. Według opinii chemików szwedzkich Krisa i Nilso-

na liczba pierwiastków jest o wiele większą od dotąd znanych, a w tej mierze opierają się oni na rozkładzie trzech oddawna znanych ciał, poczytywanych za pierwiastki, a mianowicie itrium, erbium i didium, z których otrzymali dwadzieścia nowych elementów, a kto, wie czy te z kolei rozłożyć się nie dadzą. Zaznaczają oni przytem analogię, jaka zachodzi pomiędzy ciałami astronomicznemi i chemicznemi. Popierają ją fakty. I tak Leverrier obrachunkiem udowodnił, że w takiej a takiej okolicy nieba musi istnieć planeta, której elementy oznaczył, i planetę taką, zwaną Neptunem, wistocie później ją odkryto. Astronomowie w pewnej odległości od słońca wykryli zrazu cztery asteroidy, w czasie zaś późniejszym zapomocą silniejszych teleskopów w tejże samej przestrzeni wykryto ich daleko więcej a dziś liczba ich dosięga poważnej cyfry 268, jeżeli niestrudzony Paliza nie powiększył jej nowem jakiem odkryciem. Podobnież prawdopodobnem jest, że z itrium, erbium, a może i z rutenium, paladium, rodium, osmium i iridium, całe grupy nieznanych nam dotąd pierwiastków powstaną.

Posuwając dalej tę analogię, może się okaże, że jak asteroidy są odłamami rozbitemi jednej lub kilku planet, tak i pierwiastki chemiczne, licznie dziś reprezentowane, są odmianami jednego lub kilku elementów, a wówczas nastręczy się pytanie, czem jest w istocie pierwiastkowość materyi i gdzie jej elementów poszukiwać?

Są to zdobycze teoretyczne wiedzy; inni wszakże badacze zwrócili pilną uwagę na praktyczną ocenę dawno znanych pierwiastków, a mianowicie magnezu i glinu. Wytworzenie magnezu pod każdym względem zajmuje chemików, gdyż metal ten znalazł już dość szerokie zastosowanie w przemyśle. Jeszcze większą uwagę budzi glin, jako przedstawiający wielką użyteczność.

W 1827 roku udało się Wöhlerowi glin w małych ilościach otrzymać. Jak wiadomo, jest to składnik gliny, szpatu, rubinu, szafiru, korundu i wielu a wielu innych minerałów. W 1855 r. Deville pierwszy założył na szerszą skalę fabrykacyę glinu we Francyi, ale wysoka jego cena stała się ważną przeszkodą do użytkowania z tego metalu.

Do otrzymania glinu służą dwie metody, z tych jedna zasadza się na wyłączeniu go ze związków za pośrednictwem ciał alkalicznych, druga na użyciu prądu elektrycznego. Obecnie w Ameryce metody te znakomicie ulepszono. Frishmut w Filadelfii, uczeń Wöhlera, w miejsce drogiego sodu do pozyskania glinu używa alkalij i węgla, co obniża cenę tego metalu do 10 marek za kilogram, gdy tymczasem jeszcze w 1884 roku cena kilograma glinu dochodziła 80 marek.

Prąd elektryczny w tym zakładzie, wytwarzający wysoką temperaturę, wydaje dynamo machina Brasi'ego wielkich wymiarów; przy sile motorowej 300 koni można, przy 600 obrotach na minutę otrzymać prąd siły 32 amperów. W jednym dniu otrzymują tam 100 kilogramów glinu w połączeniu z miedzią, od której następnie tenże oswobodzonym zostaje. Taż sama firma posiada fabrykę glinu w Antwerpii i spodziewa się cenę jego obniżyć do 4 marek na kilogramie. W Bremie również otrzymują glin oraz magnez, lecz tu koszt tej produkcyi jest jeszcze bardzo wysokim. W Ameryce posługują się do otrzymania glinu korundem, w Europie kryolitem, to jest fluorkiem glinu z Grenlandyi.

Glin odznacza się niepospolitemi zaletami nadającemi mu wysoką wartość; waga jego (2·6) nie większą jest od ciężaru gatunkowego szkła, przytem metal ten posiada wielką siłę oporową na wpływy powietrza, oraz moc, twardość, blask srebrzysty i daje się nadto z łatwością lać, kuć, lutować. Kwasy, z wyłączeniem solnego, na niego nie działają, tylko alkalie. Aliaż glinu z miedzią, zwany bronzem glinowym, w stosunku 1 do 9 jest niemniej pożądanym w przemyśle, a to głównie ze względu na wielką jego siłę oporową. Glin łączy się też ze srebrem; aliaż tych dwóch metalów posługuje do wyrobu monet, gdyż zapewnia im większą trwałość, niż związek srebra z miedzią. W wyrobie też instrumentów glin i jego aliaże oddają rzeczywiste usługi.

Połączenia miedzi z cyną i z cynkiem w rozmaitych stosunkach są znane oddawna; dziś odbywają się doświadczenia dla zaliażowania fosforu, krzemu i wolfranzu. W ostatnich czasach wprowadzono do mosiądzu żelazo, jako główną jego część składową. Aliaż ten otrzymał nazwę „dick" od pierwszych głosek swego wynalazcy i odznacza się wielką wytrwałością i kowalnością. Niedawno zbudowano z niego cały okręt, mający wyruszyć do Kongo, gdyż stal podlega w tamtych stronach niszczącemu wpływowi atmosfery zwrotnikowej. W dziedzinie chemii organicznej zaznaczyć winniśmy nowe przetwory. Landenburg otrzymał alkaloid, będący zasadą cykuty; pozyskano też nowe związki usypiające, a mianowicie: metilal i wodan mylowy. Zaznaczyć też winniśmy nowy produkt, otrzymany ze smoły, tak zwaną sacharynę, która doskonale zastępuje cukier a zasobem słodyczy przewyższa go 250 razy, jest zresztą dla organizmu całkiem nieszkodliwa.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Z. Sarnecki: *Nowele*. Warszawa, 1888, str. 191.
Wincenty Kosiakiewicz: *Widmo*. Kraków, 1889, str. 245.

Wytworność i t. z. dobre wychowanie, dwa nieodzowne tobołki, dodawane dzieciom arystokratycznych i rzekomo arystokratycznych rodzin na drogę życia, mają tę własność, że z obładowanego nimi człowieka robią manekina. Owa dobrze wychowana jednostka w pewnym wypadku zachowa się według wszelkich prawideł światowego kodeksu, nie zaś tak, jakby nakazywał jej postąpić rozum praktyczny, temperament, własne *ja*. Podobnie zaś zachowa się jej towarzysz, jej brat, jej synowiec, słowem, wszyscy ci, których oryginalność poświęcono w ofierze konwenansowi. Będą oni mili i uprzejmi, wytworni i gładcy, ruchy ich okrągłe, słowa grzeczne, uśmiechy słodkie, ubranie eleganckie, włosy, ułożone ręką fryzyera; ducha, człowieka w nich nie ujrzysz.

Sztuka, w jakiejkolwiek objawia się ona szacie, wymaga przeciwnie od artysty, by zawsze i wszędzie był samym sobą, nie krępował ani natchnienia, ani swobodnego polotu myśli. Szablon jest dla niego trucizną, gdyż wtłacza go w szary tłum przeciętnych jednostek. Biada więc artyście, jeżeli i w dziedzinie sztuki nie zrzuci z siebie pięt konwenansu, jeżeli i na płodach swej twórczości wyciśnie piętno salonu. Jego utwory bowiem będą miały wówczas smak mdły, a powierzchowność bezbarwną lub bladą.

Kto weźmie do ręki świeżo wydany tom *Nowel* Zygmunta Sarneckiego, ten odrazu ujrzy w pełni wszystkie powyższe wady. Wszędzie bowiem, czy to w opowiadaniu o losach wątłej hrabianki, czy urzędnika, kochającego przybrane dziecko, czy młodej mężateczki, czy Nastki wreszcie, dostrzeżesz na pierwszym planie samego autora, zawsze wyrażającego się poprawnie, choć nie zbyt czysto i nieco z francuska, zawsze opowiadającego mile, lecz płytko, po wierzchu prześlizgującego się po uczuciach, wypadkach i ludziach. Na głębsze wniknięcie i rozpatrzenie się nie pozwala mu ów szablon światowy, zawsze samolubny, nielubiący prawdziwych łez i istotnego smutku, boć na nie miejsca nie ma w salonie, w kole ludzi, lubiących używać życia.

Nadto rzecz dziwna, że Sarnecki, przesiąknięty francuzczyzną do szpiku, nie przejął jednej, wielkiej zalety mistrzów nadsekwańskich: ich zwięzłości w opowiadaniu, ich dosadnej jędrności w wyrażeniu. Jego utwory są bardzo rozwlekłe i gadatliwe; wszystko to zaś sprawia, że ów tom po przeczytaniu zostawia wzamian nudy i pustkę.

Sarnecki zapomniał, że nie każdemu dano urodzić się nowelistą; owo zapomnienie więc policzyć mu trzeba za winę. Można być przecież genialnym człowiekiem, zdolnym pisarzem, a mimo to złym nowelistą. Kto wie jednak, czy w dobie rozpowszechnienia się noweli, w chwili, kiedy ona już psuje się i przeżywa, nie należy do dobrego tonu i smaku „popełnić" kilka lub kilkanaście grzechów beletrystycznych tego rodzaju.

P. Kosiakiewicz, mimo to, że lat służby literackiej daleko mniej liczy, aniżeli poprzedni autor, więcej już zdobył sobie pochwał i odznaczeń. Z góry powiedzmy, że słusznie mu się one należą. Jego wybitnem znamieniem bowiem jest odrębność pod względem treści od całego młodszego pokolenia nowelistów. Gdy tym bowiem przeważnie chodzi o szatę artystyczną, o język, o układ pojedynczych części opowiadania, on daje przedewszystkiem oryginalną treść, oryginalną postać lub jedną sytuacyę przynajmniej, prawdziwą i z życia pochwyconą. Nie zamyka się w zaczarowanem kole wielkomieszczańskich lub chłopskich stosunków, jeno odtwarza albo świat rzemieślniczy albo prowincyę.

Nie znam przebiegu jego życia, lecz z przeczytanych utworów wnioskuję, że musiał on w dzieciństwie i w chłopięcych swych latach ocierać się bardzo blizko o warsztat, o rzemieślników, tak zaniedbywanych przez naszych pisarzy demokratycznych z wyjątkiem Bałuckiego. Później los widocznie rzucił Kosiakiewicza na prowincyę. Tu znowu poznał świat inny, przechowujący w łonie swem mnóstwo oryginałów i tradycyę dziadków naszych, świat, wolny od wielkomiejskiego pokostu, a przez to świeży i nastręczający sposobność do spostrzeżeń rozmaitych i rozlicznych. Okoliczność zaś, że pierwsze swe kroki literackie stawiał zdala od Warszawy, zdala od rozmaitych waśni osobistych i koteryjnych, uchroniła go przed wszelkiemi wpływami bezpośredniemi, a więc niebezpiecznemi i pozwoliła mu być samym sobą.

To wszystko złożyło się na podsycenie istotnego talentu, który dziwnie wypukle i trafnie umie przedstawiać ludzi, choć raz widzianych, czyny, podpatrywane i podsłuchane uczucia. P. Kosiakiewicz bowiem nie posiada wyobraźni, lecz dar umiejętnego układania w całość plonów swej obserwacyi. Stąd wszędzie, gdzie trzeba samemu dopowiedzieć brakujący szczegół, odgadnąć niedopowiedzianą myśl, odczuć ukryte wrażenie, pióro odmawia autorowi posłuszeństwa; powstaje rys błędny, odzywa się ton fałszywy.

P. Kosiakiewiczowi więc przy jego dużej płodności literackiej grozi szybkie „wypisanie się," jeżeli umiejętną, z miejsca na miejsce przenoszoną obserwacyą nie będzie zasilał swej artystycznej fantazyi. Przytem z utworów jego odnosi się wrażenie, jak gdyby pisał je człowiek, wprawdzie bardzo zdolny i rozumny, lecz nie zbyt głęboko wykształcony, samouczek, który zdobywszy przeciętną ilość wiadomości, potrzebnych każdemu inteligentnemu człowiekowi, na tem poprzestał. A przecież powieściopisarz, który pragnie wzbić się wyżej, nie może całe życie pisywać utworów w rodzaju *Bemba* lub *Ze wspomnień autora dramatycznego*, jeno musi sięgnąć głębiej w życie społeczne i jego prądy. Tu zaś obserwacya, choćby najprzenikliwsza, nie może posłużyć za przewodnika, tu do pomocy trzeba wezwać książkę, tomy całe, stosy tych towarzyszek, niezawodnych, chętnych i pouczających. Tylko teorya, zespolona z doświadczeniem, jest w stanie zrodzić taki wspaniały owoc, jak *Nad Niemnem* lub *Cham* Orzeszkowej.

To zaś i tym podobne dzieła, jako gwiazda przewodnia, winny przyświecać autorowi *Janka* w dalszej jego literackiej działalności.

A. Witski.

Z NIEMIEC.

2 lutego.

Fizyolog Exner o powszechnych błędach myślenia.— Ostatni tom dziejów powszechnych Leopolda Rankego; wykłady Rankego dla króla Maksymiliana II.— Z dziedziny powieściopisarskiej: Jerzego Hartwiga „Ringkämpfe." — Nowe dramaty Pawła Heysego; jego „Mądrość Salomona."

Twórca logiki induktywnej, autor *Nowego organu*, pierwszy w nauce badał powszechne, zwykle błędy myślenia nietylko pod względem formalnego, logicznego ich charakteru, ale też pod względem psychologicznej ich natury i genezy. Błędy te, które powstały w życiu codziennem, pod wpływem języka i w szkołach, a które utrwaliły się dzięki tradycyom i przyzwyczajeniom myślowym, nabranym w młodości, nazywa Bakon „idola," i grupuje je w czterech głównych kategoryach: *idola tribus*, są to błędy wynikające z właściwej naturze ludzkiej tendencyi przyjmowania porządku w przyrodzie; *idola specus*, błędy wynikające z budowy umysłów szczególnych; *idola fori*, które powstają przy porozumiewaniu się ludzi między sobą; wreszcie *idola theatri*, czyli błędy oparte na dogmatach szkół kolejno po sobie następujących.

W naszem stuleciu logika i psychologia wróciły do badań Bakona, a w najnowszych czasach i fizyologia pragnie pogłębić rozpoznanie genezy powszechnych błędów myślenia i wyszukać ogólne prawa, pod które wszystkie podpadają. Rezultaty badań tych przedstawił profesor Exner na zjeździe przyrodników w Kolonii; obecnie wywody jego, ogłoszone drukiem, stały się przystępnymi dla kół szerszych. Fizyologia wyjaśnia błędy myślenia ludzkiego, badając je u zwierząt. Odkąd rozum uważa się jako wyższe stadyum umysłowości, która nieprzerwanym łańcuchem łączy wszystkie istoty żyjące, objawy dotyczące instynktu są pouczające dla charakteru funkcyj duchowych. Jeżeli kura, instynktem tylko obdarzona, siedzi w gnieździe na jajach i nie opuszcza miejsca swego, chociażby zabrano z pod niej jaja, to postępowanie jej wypływa z pewnego utrwalenia się kombinacyj (?) o procesach odbywających się w ośrodkach nerwowych i o stanach zmiennych. Działa w kurze tej prawidłowy przebieg myśli, ale brak skojarzenia pojęć, odnoszącego się specyalnie do wypadku, że ktoś jajo z pod niej zabrał. I oto już wystąpiło prawo, które objaśnia najczęstsze, powszechne błędy myślenia ludzkiego: umysł, wobec pewnego faktu świata zewnętrznego, oddziaływa w sposób, który w przeważnej ilości wypadków byłby prawidłowym, ale do tego specyalnie faktu zastosowanym być nie powinien. Kiedy ogłaszają numery, wyciągnięte na loteryi państwowej, gromadka ludu starannie je sobie spisuje, twierdząc, że te, które dawno nie wyszły, większe mają szanse wygrania. Nieraz słyszymy ludzi bardzo wykształconych, wyrażających się o kimś, że ma szczęście w grze, podczas gdy myśląc prawidłowo, mogliby tylko twierdzić, że człowiek ów *miał* szczęście w pewnej ilości partyj. Doświadczywszy, iż ktoś godnie postępuje, wnosimy, że jest to człowiek z charakterem; kombinujemy więc doświadczenia nasze, objawy czyjejś istoty, z jego własnościami i takeśmy do tego przywykli, że i szczęście jego w grze tłomaczymy sobie stałą jego własnością.

Na tej samej właściwości myślenia ludzkiego opiera się znany sofizmat Zenona z Elei, że szybkonogi Achilles nie może dogonić żółwia pełzającego, gdyż czas dzielący ich zmniejsza się wprawdzie, ale i najmniejsza część tego czasu podzieloną być jeszcze może na cząstki (co odpowiada zwykłym wyobrażeniom naszym o czasie, ale nie wypadkowi, gdzie czas się redukuje).

A skoro wyjaśnić sobie chcemy, dlaczego popełniamy te błędy myślowe, mając dosyć czasu do prawidłowego myślenia, znowu poznajemy pokrewieństwo umysłu ludzkiego z instynktem zwierzęcym: podobnie jak u zwierząt zachodzi pewne skostnienie kombinacyj myślowych, tak i my nie jesteśmy panami skojarzeń naszych. Trafnie to Exner wyraża, twierdząc, iż w życiu zwyczajnem nie powinniśmy mówić: „myślę," ale raczej „myśli coś we mnie" (es denkt in mir).

Zajmującym nietylko dla uczonych, ale i dla najszerszych kół inteligencyi jest ostatni tom dziejów powszechnych Leopolda Rankego, wydany z papierów jego pośmiertnych przez Alfreda Dorego i Jerzego Wintera *). Kiedy sędziwy historyk w wieku, w którym inni bezczynnie już spoczywają na wawrzynach, zabrał się do napisania swojej *Weltgeschichte*, zamyślał doprowadzić ją tylko aż do końca wieków średnich, gdzie narody i państwa nowoczesne mniej więcej już się uformowały; w poprzednich bowiem dziełach opracował był dzieje poszczególnych narodów, zwłaszcza w XVI i XVII w. Już ósmy tom wielkiego tego dzieła, opisując obalenie potęgi papieskiej, oraz utrwalenie się Francyi jako państwa narodowego za Filipa Pięknego, staje u progu nowej fazy rozwojowej w dziejach Europy. Wydany obecnie tom dziesiąty, w pierwszej części poświęcony jest czasom przejściowym, poprzedzającym dzieje nowoczesne; część za zestawioną jest z wykładów, które Ranke przygotowywał w r. 1870. Aczkolwiek więc wszystko tu niemal wyszło z pod pióra samego Rankego, brak w tej części najważniejszej zalety, cechującej prace wielkiego pisarza: brak zaakcentowania momentów jedności, ciągłości rozwoju w powikłanych, rozgałęzionych drogach historyi. Nadto wykład wlecze się i powtarza często. Bardziej zajmującą jest część druga, zawierająca wykłady Rankego, miane dla króla bawarskiego Maksymiliana II, a wydane pod tytułem *Ueber die Epochen der neueren Geschichte.* Autora łączyły ściślejsze stosunki z królem bawarskim. Już w r. 1831 wykładał on ówczesnemu następcy tronu dzieje powszechne; Ranke opowiada, że Maksymiliana najbardziej zajmowała strona filozoficzna, rozwój życia umysłowego i przewodnich idei starego i nowego świata. Kiedy w r. 1854 bawił w zamku jego w Berchtesgaden, uprosił go król, aby w szeregu wykładów wypowiedział pogląd swój na kierunek dziejów nowszych; miał Ranke zarazem polemizować z poglądami króla, który skłaniał się do pewnych myśli historyozoficznych, podczas gdy Ranke był ich przeciwnikiem. Nie mając pod ręką materyałów, zaimprowizował niejako wykłady te, które sam nazwał rapsodyami. Król kazał je stenografować; stenografowano też rozmowy króla z historykiem. Wykłady i rozmowy te umieszczono tedy na końcu wielkiego dzieła Rankego. Jeszcze przed wyjściem ostatniego tomu, pisma niemieckie i austryackie drukowały w fejletonach swych ustępy z owych lekcyj, które wielkie obudzały zajęcie. Zawierają one poglądy Rankego na związek wielkich zdarzeń dziejowych i niezawodnie są nietylko zajmującymi, ale i pouczającymi. Mimo to wielu czytelników one nie zadowolnią. Głęboka nauka i bystry umysł dziejopisa nie wynagradzają niedostatków, na które chorują wszystkie prace Rankego. Mamy na myśli zupełne zaniedbywanie filozofii dziejów, której on zaprzeczał racyi bytu, oraz odrazę dla wszystkich ruchów dziejowych, opartych na szerokich masach ludu; burze 1848 r. zniechęciły go do nich, a w pracach swych nie umiał wyzwolić się od polityka, członka stronnictwa.

Powieściopisarstwo niemieckie zdobyło się po dłuższej pauzie na dzieło, które czyta się z zajęciem prawdziwem i bez uczucia oschłości. Jest to najnowsza powieść Jerzego Hartwiga *Ringkämpfe.* Praca ta, zawierająca opis walk głębokich a zajmujących, mija się zupełnie z drogą tuzinkowej produkcyi powieściowej, która pragnie bawić i uderzać efektami, na każdej stronicy wyskakującymi. Senta, kobieta myśląca i delikatnie zorganizowana, wyszła za prezydenta Hardelebena, człowieka poważnego, którego szanuje, lecz nie kocha. Przeżyła z nim szereg lat spokojnie; wtem doktor Steinwehr, sam zaręczony, wkracza w drogę jej życia, budząc w niej namiętność nieznaną dotychczas. Istoty ich magnetycznie się przyciągają; stosunek ten, aczkolwiek czysty, zdradzony prezydentowi, powoduje zgubę Steinwehra, a pośrednio śmierć Senty, która opuściwszy dom męża, umiera z żalu. Zajmujące są również dzieje drugiej pary: piękna, lecz uboga Walentyna Klingström, gardząc miłością poety Arnima Falka, wychodzi za bogatego hrabiego, a po jego śmierci zostaje kochanką panującego księcia. Już jej tron się uśmiecha; ale nadzieje zawodzą ją; a i Falk, wówczas już sławny, dla niej jest straconym, gdyż pojął był za żonę młodszą jej siostrę. Piękną postacią jest baron Göpping, kaleka, ale o głowie Apollona, człowiek z sercem i umysłem głębszym. Życie jego smutnie mu upływa: zyskuje sympatyę i szacunek, ale nie miłość, za którą tęskni. Zawiódłszy się w nadziejach swych u dziewczyny prostej, w skromnych żyjącej stosunkach, ginie z własnej ręki. Powieść Hartwiga wstrząsa czytelnika psychologiczną prawdą i głębokością. Aczkolwiek w tem główna jej zaleta, zawiera ona niemniej sceny dramatyczne o sile niepospolitej u dramaturgów, a tem rzadziej u powieściopisarzy niemieckich.

Kiedy Walentyna wyszła za hrabiego, człowieka bez sumienia i rozpustnika, tuż po ślubie widzi przed sobą kobietę uwiedzioną przez hrabiego i opuszczoną wraz z dziećmi; zanim wraz z niemi topi się, kobieta ta opowiada dzieje swe Walentynie i przeklina ją.

Na scenę taką nigdy by się nie był zdobył Paweł Heyse, który w ostatnich czasach dramatyczne poezye swe wzbogacił trzema nowymi tomikami. Brak ten powinienby autor o rozgłosie Heysego wynagrodzić przynajmniej zręcznym dyalogiem lub głębokością myśli. Takim był też widocznie jego zamiar w pięcioaktowym dramacie p. t. *Mądrość Salomona.* Mało tam jednak prawdziwie „salomonowej" mądrości. Królowa Saba przybywa do Salomona, by dowiedzieć się, jakiem jest przeznaczenie rodu ludzkiego. Ale Salomon odpowiada jej:

— Na co żyjemy?
Umrzyj, a dowiesz się; nie pierwej.

Mimo zawodu tego królowa zakochuje się w Salomonie. Ten zaś właśnie zajęty jest Sulamitą, piękną pasterką. Zazdrosna królowa zamierza uwieść i uwięzić Sulamitę; broni jej narzeczony Hadad. Wtem zjawia się Salomon, a Kadad i na niego porywa się z bronią. Powinien zginąć z rąk oprawcy; ale wspaniałomyślny król przebacza mu i łączy go z Sulamitą. Po wielu myślach płytkich, wypowiada tu zdanie ostatnie, zawierające istotnie myśl głębszą:

. . . Cieszyć się
Cudzą pociechą, nie czując zazdrości, oto korona [mądrości.

Szkoda tylko, że szczęścia tego rozumem zdobyć niepodobna; samolub, choćby najmędrszy, uciechy tej nie dozna nigdy, ale za to doznaje jej niejeden prostaczek, który ma serce uczciwe.

Ladawa.

*) Lipsk, Duncker i Humblot, 1888.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Śmierć Domejki. — Przyjaciele Mickiewicza. — Choroba ortograficzna. — Nowy alfabet Promyka. — Wypadki na kolei Nadwiślańskiej. — Wykolejenie się pp. Halperta i Hantowera. — Kołowrot obrad uczestników stowarzyszeń kolejowych. — „Zamknąć budę“ — brawo. — Obywatelski komitet opieki nad plantacyami miejskiemi. — Straż nad swawolą i bezmyślnością.

Dzięki uczuciom wywołanym u nas zwycięztwem Boulangera i śmiercią austryackiego następcy tronu, zgon Ig. Domejki odbił się w duszach naszych słabem stosunkowo echem. Jakkolwiek nieboszczyk ani w nauce, ani — spędziwszy główną część życia zdala od kraju — w sprawach społecznych nie odegrał roli ważnej, szanowano go, ceniono, uważano za relikwię jako przyjaciela Mickiewicza. Tytuł ten stał się w literaturze naszej osobną godnością, nadającą wielką wartość ludziom, którzy sami przez się wydatnego stanowiska nie zajęli. „Przyjaciel Mickiewicza“ — zaszczyt ten zrównoważył się niemal z zasługami w literaturze i znaczył niemal tyle, co: znakomity poeta lub uczony. Najwymowniejszymi zaś okazicielami takiej sławy byli Odyniec i Domejko. Obaj bez „przyjaźni Mickiewicza“ zaledwie byliby znani ogółowi. Spadł na nich ten urok, który spoczywa na wszelkiej pamiątce po genialnym poecie. Głęboka zaś i wytrwała cześć dla tych relikwij przekonywa, jak potężnym i szeroko wyznawanym jest u nas kult Mickiewiczowski. Pospieszam dodać, że nie widzę w nim przesady, która przybrała olbrzymie rozmiary np. w goethyzmie niemieckim, już dziś wyśmiewanym i przywoływanym do porządku przez umysły trzeźwiejsze. Podczas kiedy Goethe znudził się już i obmierzł niemcom, my jeszcze nie wypowiedzieliśmy całej chwały Mickiewicza i więcej odczuwamy ją instynktownie, niż pojmujemy świadomie.

Ot widzisz czytelniku: i ja, chcąc rzucić grudkę ziemi w grób Domejki, zacząłem wieńczyć posąg jego „przyjaciela.“

Choroba ortograficzna nie jest wogóle zaraźliwą, epidemiczną, ale za to u nas endemiczną, stałą, nigdy niegasnącą, a przytem upartą i w większości wypadków nieuleczalną. Kogo raz dotknie, ten pod jej wpływem traci wrażliwość na najważniejsze zagadnienia myśli i życia ludzkiego, *i* uczyni osią świata, na *y* się rozkrzyżuje, *jotą* bok sobie przebije, żółcią z *s, t, z* się napoi — i tak cierpi za zbawienie świata od *błędów*. U nas daleko więcej ludzi, niż gdzieindziej, skazuje się dobrowolnie na tę katuszę. Jakkolwiek w *Gazecie świątecznej* objawiły się już dawniej pewne znaki mesyanizmu ortograficznego, nie sądziłem, ażeby Promyk, pisarz ostrożny, od wszelkiego reformatorstwa daleki i poważniejszemi sprawami zajęty, zapragnął „ulepszyć pismo polskie.“ I on? I on, który przedewszystkiem powinien dbać o to, ażeby prostaczkowie umieli czytać i pisać tak, jak ogół? Stało się. Ostatni numer *Gazety świątecznej* przynosi nam nowy koncept graficzny, którego autor zastrzega sobie 10-letni przywilej wynalazku. Promyk nietylko wnosi pod obrady, ale nawet zaczął już drukować artykuły swej *Gazety* alfabetem zmienionym. Mianowicie niektórym głoskom (B, F, G, K, M, P, W) dla zmiękczenia zamiast *i* obok, dodał maleńkie *i* u góry (np. K'edy), a małym kreski (k'), niektóre zaś (cz, dz, ch itd.) powiązał na podobieństwo monogramów (z powodu braku odpowiednich czcionek w naszej drukarni nie mogę tu podać próby wynalazku). Alfabet ten jest zarówno nieudolnym w pomyśle, jak szkodliwym w zastosowaniu. Bo naprzód dlaczego ma być lepszem K', niż Ki — nie pojmuję. Powtóre system Promyka wytworzyłby różnicę między drukiem a pismem, trudno bowiem wymagać zwłaszcza od ludzi prostych, ażeby uczyli się kreślić litery złożone. Odlanie takiej sztucznej czcionki jest łatwem, ale napisanie jej — nie. A teraz zważmy skutki. Literaturę ludu zasila nietylko redaktor *Gazety świątecznej*; nadto on sam puścił w świat kilkadziesiąt tysięcy rozmaitych książek, a nawet wydał elementarze na podstawie alfabetu dotychczasowego; pytam więc, co się zrobi w głowach prostaków po tej reformie? Zdumiewa nas ona tem bardziej, iż sam jej twórca uznaje, że „co ma już tyle wieków, tego zmienić jednym zamachem niepodobna,“ że „młode i późniejsze pokolenia nasze nie umiałyby czytać tych milionów książek, które już dotąd napisano i puszczono między ludzi.“ Ale to światło, które mu rozjaśnia błędy cudze, oślepia go na własny, pomimo że jeśli szkodliwe skutki takich „zamachów“ grożą klasom ukształconym, to o ileż one wzrastają wśród ludu. Zaiste tam, gdzie ten lud jeszcze czytać i pisać nie umie, gdzie naukę początkową musi czerpać z rozmaitych, często przygodnych źródeł i szukać przewodników w rozmaitych warstwach społeczeństwa, tam mącenie jego wiedzy nowym alfabetem, utrudniającym mu dostęp do pisowni i literatury ogółu jest wyskokiem tak dziwnym, że ani zrozumieć, ani usprawiedliwić go niepodobna. Czy Promyk zastanowił się nad tem, że on nie rozporządza szkołą, której środkami i przymusem mógłby przeprowadzić i rozpowszechnić swój pomysł, że nie rozporządza literaturą, którejby swoją ustawę graficzną narzucił? Czy mu to nie przyszło na myśl, że uczeń, któryby napisał według jego metody — *kolońjalnemi*, zostanie skarcony przez nauczyciela i że jego czytelnicy po za *Gazetą świąteczną* nigdzie tego wyrazu w takiej formie nie spotkają? Czy oświata naszego ludu zyska na jego odszczepieństwie? Pozostanie to dla nas nierozwiązaną zagadką, jak człowiek rozsądny i kierujący się oportunizmem mógł upuścić z uwagi tyle ważnych względów? Doświadczenie przekona go, że niepotrzebnie zastrzegł sobie prawo własności wynalazku, gdyż mu nikt przywileju naśladownictwem nie naruszy. Niech więc, póki czas, schowa kwiatek swej pomysłowości jako zwiędłą pamiątkę chluby własnej i nie zmusza opinii publicznej, która jego działalność dotąd popierała, do zwrócenia się przeciwko niej stanowczo. Wyznaję otwarcie, że każdemu z czytelników moich odradzać będę rozszerzanie wydawnictw Promyka, drukowanych nowym jego alfabetem, gdyż one szkodliwie oddziałają na oświatę ludową.

Kiedy „pociąg“ oszczędnościowy na kolei Nadwiślańskiej szedł pełną parą, zrobiłem uwagę: panowie maszyniści, ostrożnie, bo możecie się wykoleić! Obsługa znacznie uszczuplona w swym składzie i nadmiernie przeciążona pracą, nie dawała rękojmi należytego spełnienia obowiązków a zarazem bezpieczeństwa. Wprawdzie dotąd nie nastąpiła katastrofa z ludźmi, ale logiczny i pouczający wynik oszczędności już się objawił. Pod Konopkami omal nie spotkały się dwa pociągi, pod Sobolewem spotkały się towarowe, zdruzgotawszy kilka wagonów, wreszcie na kolei Obwodowej zdarzyło się wykolejenie. Niema wątpliwości, że trzy te wypadki pozostają w związku z zaprowadzonym systemem skąpstwa. Wobec tych doświadczeń pocieszającą jest wiadomość, że ostatnie zebranie akcyonaryuszów kolei Nadwiślańskiej unieważniono i że p. Halpert ma być usunięty z zarządu. Za p. Halpertem pójdzie zapewne i p. Hantower, kurcz kieszeni podwładnych. On to bowiem głównie je ściskał. Gdy książę pada, pada z nim i płaszcz jego — jak mówi poeta.

Wiek nasz nie będzie już oglądał ostatecznych uchwał stowarzyszeń kolejowych w Warszawie. Członkowie ich bowiem schodzą się po to, ażeby narobić językami kurzu, wysypać z ust mnóstwo najrozmaitszych *liberum veto* i rozwiać się jak para, która znowu zgęstnieje i utworzy chmurę. Zwłaszcza zebrania członków kas emerytalnych i pożyczkowych odbywały się przez lat kilka bez żadnego rezultatu: jedni ciągnęli naprzód, drudzy w tył, wóz więc stał na miejscu. Typowym był również sejmik uczestników sklepu spożywczego kolei Nadwiślańskiej. Dotychczasowy zarząd odsądzono od cnót i przymiotów dla takiego ciała wymaganych, nahałasowawszy wybrano nowy z tą wiarą, że on zlemu nie zaradzi i że najlepiej byłoby nie wybierać żadnego, czyli sklep zwinąć. Bo gdy jeden z mówców myśl tę podniósł, otrzymał rzęsiste brawo. Oj, ludzie, ludzie, kiedy wy dojrzejecie!

Przy magistracie tutejszym utworzono komitet obywatelski, który strzedz będzie „plantacyj miejskich.“ Jak członek Towarzystwa opieki nad zwierzętami na mocy swego przywileju i urzędowej karty może pociągać do odpowiedzialności winnych za dręczenie zwierząt, tak członek owego komitetu będzie to samo czynił za dręczenie lub niszczenie roślin. Ponieważ pierwsza z tych wart honorowych nie ukróciła nadużyć, więc i druga im nie podoła. Ale przynajmniej zacznie ona szczepić w ludności zasady i zwyczaje poszanowania ogrodów publicznych, które wszędzie są nietykalne, a u nas służą za pole samowolnej i bezmyślnej grabieży. Zrywanie kwiatów, łamanie gałęzi, czasem bez żadnego innego celu, prócz zajęcia swawolnych rąk i zrobienia szkody, niszczenie pięknego krzewu dla wystrugania dziecku zabawki — to są u nas widoki powszednie. Gdyby one tylko stały się nieco rzadsze pod opieką komitetu obywatelskiego, już on by zasłużył sobie na wielką wdzięczność. Mówiono, pisano, odzywano się do najrozmaitszych uczuć dla powstrzymania łupieztwa—nic nie skutkowało; może poskutkują kary na szkodników wymierzane. Nieszczęśliwe to dla nas ubezpieczenie, ale cóż robić, kiedy póty broiliśmy, aż ono okazało się niezbędnem.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Odpowiedzialność. Władze skarbowe wydały rozporządzenie, wedle którego odpowiedzialność pieniężna za deficyty w kasach rządowych spada nietylko na urzędników kasowych, do których należało dozorowanie kasy, ale także na odnośnych urzędników izby skarbowej.

Zapisy testamentowe Ignacego Daniłowicza uzyskały zatwierdzenie władzy. Do rozporządzenia Towarzystwa dobroczynności 1,000 rs., dla biura nędzy wyjątkowej 1,000 i do bezpośredniego rozporządzenia Towarzystwa 80,000 rs. z przeznaczeniem procentów: w $^1/_4$ części na wsparcie dla niezamożnej wdowy po b. obywatelu ziemskim lub urzędniku na kształcenie dzieci; w $^1/_4$ na utrzymanie w Towarzystwie dobroczynności dwóch ubogich osób, w $^1/_4$ dla schronienia paralityków Sobańskiego i w $^1/_4$ na posag dla dwóch wychowanek Instytutu św. Kazimierza.

W Kopenhadze na ostatniej wystawie p. Antonina Szymkiewicz z Warszawy za wspaniały zbiór sztucznych kwiatów otrzymała w nagrodę dyplom uznania.

Sprawy robotnicze. W Łodzi sędzia pokoju, mając przedstawioną przez inspekcyę fabryczną okręgu warszawskiego sprawę fabrykanta łódzkiego, Bernarda Ginsberga, obwinionego o naruszenie prawa o pracy nieletnich i kobiet, skazał podsądnego na 50 rs. kary.

Oświetlenie elektryczne. Do magistratu m. Warszawy wystąpił z podaniem technolog Friedländer z Petersburga o udzielenie mu koncesyi na urządzenie w Warszawie centralnej stacyi oświetlenia elek-

trycznego na takich warunkach: 1) W ciągu lat 40-tu eksploatacyi przedsiębiorstwa odliczać się będzie po 10% od dochodu na korzyść miasta. Po upływie tego czasu całe urządzenie w takim stanie, w jakim podówczas się znajdzie, przejdzie na rzecz miasta. Długów żadnych Towarzystwo, czy przedsiębiorca, nie ma prawa zaciągać. Ceny za urządzenie konsumentom światła elektrycznego będą ustanawiane za porozumieniem się magistratu z koncesyonaryuszem. 2) Właściciel koncesyi w ciągu 40 lat ma wyłączne prawo urządzania światła elektrycznego w promieniu 600 sążni bieżących od stacyi centralnej. 3) Służy mu też prawo w obrębie tego promienia układać przewodniki i wprowadzać je do gmachów i domów, łączyć je lub rozdzielać itd. 4) Koncesyonaryusz ma prawo przybrania do udziału w interesie osób trzecich, sprzedaży zawartej z miastem umowy innym osobom i tworzenia towarzystwa akcyjnego, bez osobnego na to pozwolenia magistratu. 5) Koncesya ustaje, jeżeli od pół roku po udzieleniu jej nie będzie zaczęte urządzanie stacyi centralnej oświetlenia elektrycznego.

Z przemysłu. Ministeryum skarbu otrzymało podanie, wniesione przez przedstawicieli różnych fabryk i zakładów przemysłowych o podwyższenie cła na rozmaite wyroby,* sprowadzane z zagranicy. Fabrykanci tłomaczą się podwyższeniem kursu rubla kredytowego, co utrudnia fabrykantom krajowym współzawodnictwo z wyrobami zagranicznymi.

— *Kur. codz.* donosi, iż pewne grono kapitalistów, pomiędzy którymi znajdują się także niemcy, ma zamiar wydzierżawić zakłady górnicze we wschodnim okręgu, będące jeszcze własnością rządową. Zakłady te eksploatowaliby owi kapitaliści bez czynszu stałego, ale jedynie na warunkach opłacania pewnej ilości kopiejek od każdego puda wytworzonej surówki, oraz koniecznego kupowania drzewa na po trzeby hut w lasach rządowych.

Propinacya. *Prawit. Wiest.* ogłasza rozporządzenie Najwyższe o sposobie ciągnienia przez skarb dochodu z propinacyi na gruntach włościańskich w Królestwie Polskiem. Uchwalono: moc obowiązujących przepisów przedłużyć na lat trzy, tj. do 13 stycznia 1892 r., pozostawiając dzierżawcom propinacyj prawo odnowienia kontraktów na źródła dochodów na czas od 13 stycznia 1889 r. do 13 stycznia 1892 r. na warunkach umów w okresie lat 1886 — 1888. W razie zaś odmowy dzierżawców co do dzierżawy dalszej, należy propinacye wydzierżawiać przez licytacyę publiczną na zasadach ogólnych.

Podatek kolejowy. Podług doniesienia *St. Pet. Wied.* minister komunikacyi oświadczył, że ze strony jego nie zachodzi żadna przeszkoda w pociągnięciu kolei żelaznych do opłaty trzyprocentowego podatku przemysłowego. Na kolejach przez rząd poręczonych opłata będzie pobierana tylko od superdywidendy, zupełnie zaś wolne będą od podatku te drogi, których akcye z mocy ustawy nie podlegają żadnym podatkom.

W pow. humańskim władze administracyjne wydały rozporządzenie. zabraniające wystawiania w świątyniach ciał dzieci zmarłych na choroby zakaźne, całowania umarłych w trumnie i sprawiania pogrzebów przy otwartych trumnach.

Z rozporządzenia władzy właściwej zamknięto następujące zakłady naukowe: 1-klasową szkołę męzką, utrzymywaną w Warszawie przez p. Geratową. 4-klasową szkołę realną w Lipnie, utrzymywaną przez p. Glińskiego i 1-klasową żeńską w Kutnie, utrzymywaną przez p. Lewego.

Wyroby kotłów do maszyn parowych w kraju naszym coraz bardziej się rozszerzają. W roku zeszłym jedna tylko fabryka zbudowała ich 420, nitowanych i szwejsowanych.

Szkoły. Sprawa dopuszczenia na przyszłość kobiet do studyowania medycyny, została rozstrzygnięta twierdząco. W Petersburgu ma być utworzony specyalny instytut. Wychowanki tego zakładu będą mogły leczyć tylko choroby kobiece i dzieci.

— Ministeryum oświaty wyjednało nowy kredyt w sumie 254,000 rs. na urządzenie w przyszłym roku szkolnym nowych szkół rzemieślniczych i technicznych.

— Na wniosek kuratora okręgu naukowego warszawskiego ministeryum oświaty postanowiło mianować lekarzy przy gimnazyach żeńskich w Królestwie Polskiem. Pensye będą im wypłacane nie z etatu, lecz z funduszów specyalnych gimnazyów. Lekarz gimnazyum żeńskiego nie będzie mógł jednocześnie zajmować takiejże posady w innym zakładzie naukowym.

— Ministeryum wychowania publicznego wyjaśniło, że na mocy ukazy Najwyższego z d. 22 października 1883 r., zbieranie składek wśród uczniów zakładów naukowych jest stanowczo wzbronionem, chyba że składki te są przeznaczone na zaspokojenie potrzeb danego zakładu naukowego.

Swiet podaje pogłoskę, że z gub. lubelskiej ma być wydzielona nowa gubernia chełmska z miastem głównem Chełm.

Wystawa czasowa. Około trzydziestu malarzy z Warszawy i Cesarstwa zapowiedziało udział w paryskiej wystawie powszechnej. Dla okazania publiczności dzieł przeznaczonych na wystawę, komitet urządza w swoim gmachu wystawę czasową.

Proces winnych katastrofy kolejowej w Borkach 29 października r. z. ma być sądzony w Petersburgu w marcu r. b. Jednego z oskarżonych, prezesa drogi żelaznej Kursko-Azowsko-Charkowskiej, Hahna, bronić ma adwokat przysięgły W. Spasowicz.

Cło. Wszystkie towary afganistańskie, przewożone przez granicę do Rosyi azyatyckiej i europejskiej, mają być obłożone cłem w tym samym stosunku, jak i towary perskie. Tylko drzewne będą wolne od opłaty.

— Departament ministeryum skarbu zamierza podwyższyć cło wwozowe od mydeł i przyborów toaletowych.

Budowa kolei. Dzienniki petersburskie donoszą, iż ministeryum komunikacyi postanowiło w r. b. nie przystępować do budowy żadnych kolei, chociażby zatwierdzonych w zasadzie, lecz wymagających nakładu ze strony rządu.

Gazet w Paryżu wydawanych w r, b. wychodzi 1,648.

W Palermo w ostatnich czasach samobójstwa kobiet tak są częste, iż niektórzy uważają objaw ten za epidemię. Niema podobno dnia, aby nie zaszedł wypadek tego rodzaju.

Rada Państwa otrzymała do zatwierdzenia projekt nowego urządzenia włościan skarbowych na Syberyi.

Zjazd. Za kilka tygodni zbierze się w Odesie zjazd przedstawicieli ziemstw z gub. południowych, celem uradzenia sprawy elewatorów zbożowych i taryf kolejowych. Będzie to rodzaj przygotowania do narad komisyi rządowej, mającej opracować projekt ujednostajnienia taryf dróg żelaznych.

Ustawa leśna. Zastosowanie w Królestwie Polskiem przepisów o ochronie lasów, jak utrzymuje *Russkij Lesopromyszlennik*, nie prędko nastąpi. Utworzeniu komitetów leśnych w Królestwie Polskiem stoją na przeszkodzie liczne przyczyny, między innemi wzgląd na to, że wczesne wykonanie przepisów może wpłynąć ujemnie na dobrowolną regulacyę służebności.

Zmarli. F. Holtzendorf, prof. prawa w Monachium.
— M. Ledóchowski, kardynał, w Rzymie.
— T. Magdziński, poseł, w Poznańskiem.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu S. G. Co do formy — jest to najzwyklejsza proza rymowana bez rytmu. Co do treści — wywód, pozbawiony myśli głębszych.

Panu Stanisł. Edw. Nie dla nas. Artyzm nie dotrzymuje w tym utworze kroku dobrym chęciom.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Января 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Swiętochowski